



Emily McKay



Wielka pokusa

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ana Rodriguez miała po dziurki w nosie nadętych zarozumiałych gwiazd! Z ich powodu parę tygodni temu rzuciła pracę kostiumologa w Hollywood i za radą przyjaciółki Emmy Worth zgłosiła swą kandydaturę na stanowisko dyrektora Fundacji Nadzieja Hannah, która niedawno powstała w jej rodzinnym mieście Vista del Mar. Tego potrzebowała: spokoju, odmiany, życia z dala od Hollywood i kaprysów sławnych ludzi.

Okazało się jednak, że będzie współpracowała z supergwiazdą sceny muzycznej Wardem Millerem, który został twarzą Nadziei Hannah. Z doświadczenia wiedziała, że im większa gwiazda, tym większe ego. Z niepokojem myślała o tym, co ją czeka.

Krytycznym wzrokiem powiodła po biurze fundacji, która - jak napisano w broszurze informacyjnej - miała „służyć radą i wsparciem osobom w trudnej sytuacji życiowej i materialnej”. Innymi słowy, miała pomagać biednym.

Pokój był czysty, umeblowany zwyczajnie: stało w nim kilka biurek, kilka używanych krzeseł, foteli i regałów kupionych w internecie. Pomieszczenia znajdujące się w głębi budynku - sala konferencyjna, dwa gabinety i kuchnia - były jeszcze skromniej urządzone. Przed chwilą Ana wysłała Omara do sklepu po kawę, nie wierzyła jednak, aby najlepsza z tutejszych kaw wywarła wrażenie na Millerze.

Starła się „upiększyć” biuro rzeczami przyniesionymi z domu: na fotelach położyła kolorowe poduszki, w kącie postawiła lampę, której ciepłe światło łagodziło blask jarzeniówek na suficie, na podłogę rzuciła wzorzysty chodnik. Pomogło, choć niewiele.

Bała się, że Miller wejdzie i skrzywi się niezadowolony. Ale jeszcze bardziej obawiała się, że po krótkiej rozmowie facet zorientuje się, że ma do czynienia z oszustką, której brakuje podstawowych zdolności, aby kierować Nadzieją Hannah.

Jeśli ktokolwiek mógł ją przejrzeć na wylot, to właśnie on. Ten muzyczny bóg działał w Fundacji Cary Miller, zwanej FCM, którą założył po śmierci żony, a także zasiadał w zarządzie wielu innych, między innymi w Nadziei Hannah.

Zaś ona, Ana, dostała tu pracę głównie dlatego, że poleciła ją Emma, z którą przyjaźniła się od dziecka.

Teraz była odpowiedzialna za realizację marzeń całego miasteczka. Nie mogła zawieść ludzi, którzy tak bardzo na nią liczyli. Zresztą potrzebowała tej pracy. Z kilku powodów: bo zrezygnowała z poprzedniej, bo całe oszczędności wydała na mały domek w Vista del Mar, bo po czterech latach zajmowania się strojami aktorów chciała zająć się czymś ważnym.

Czy Miller musi pojawić się zaledwie parę dni po tym, jak objęła posadę dyrektora? Gdyby tylko miała więcej czasu! Założyciel Nadziei Hannah, Rafe Cameron, planował przejąć spółkę Worth Industries, która napędzała miejscową gospodarkę. Ana nie miała co do niego złudzeń; może powołał fundację w geście dobrej woli, ale też dla auto-reklamy. Nie była jednak pewna, czego spodziewać się po Wardzie Millerze. Czy naprawdę zamierza zaangażować się w pracę fundacji, czy może jest szpiegiem Rafe'a, przysłanym, by śledzić potknięcia nowej pani dyrektor?

Cholera, facet jest gwiazdą muzyczną, jednym z najbardziej znanych dobroczyńców w kraju. I jest seksowny jak diabli. A ona od najmłodszych lat należała do rzeszy jego fanów. Marzyła o tym, by chociaż okazał się palantem. Takim jak Ridley Sinclair, który ciągle ją podrywał, mimo że miał żonę. Łatwiej byłoby wtedy o profesjonalny dystans. Okej, niech Ward nie będzie aż takim łajdakiem. Ale potrzebowała czegoś, jakiejś wady, aby oddzielić Warda ze swoich fantazji od rzeczywistego człowieka.

Christi stanęła obok Any i przez chwilę razem usiłowały odgadnąć, jakie wrażenie wywrze biuro na ich gościu.

- Kiepsko to widzę - rzekła Ana. - Szkoda, że się nie umówiliśmy w klubie tenisowym.

- Facet chce, żeby go traktowano normalnie.

- Pracowałam z wieloma sławnymi ludźmi. Wszyscy oczekiwali, że będą noszeni na rękach. Jedni żądali wody schłodzonej do takiej to a takiej temperatury, inni domagali się siedemnastu przekąsek, wszystkich w kolorze błękitnym. Jeszcze inni byli na diecie oczyszczającej, która polegała na tym, że pięć razy dziennie wciągali w nozdrza sproszkowane glony.

- Zapamiętałabym, gdyby asystent Warda wspomniał o diecie glonowej.

- A o czym wspomniał? - spytała Ana, nie potrafiąc poskromić ciekawości. - Zresztą nieważne.

Nieważne? Ha! Której kobiety pomiędzy dwudziestym a dziewięćdziesiątym rokiem życia nie interesował Ward Miller? Która nie tańczyła w ramionach swojego chłopaka do dźwięków „Falling Hard”? Która...

Dla jej pokolenia Ward był wcieleniem Bono, McCartneya i Johnny'ego Casha. Był niegrzecznym chłopcem o sercu ze złota i niebywałym talencie. Od trzech lat, kiedy umarła jego żona Cara, nie występował i nie nagrywał. Jego nieobecność na scenie muzycznej dodawała mu tajemniczości. Fani nie mogli doczekać się kolejnej płyty. Ona również, ale dziś jest szefem fundacji, a nie zwariowaną fanką. Spojrzała na zegarek.

- Spóźnia się.

- I bardzo za to przeprasza - usłyszała charakterystyczny głos.

Wszędzie by go rozpoznała. Odwróciła się. Tak, to on. Metr osiemdziesiąt wzrostu, ubrany na sportowo w bojówki, prosty biały T-shirt podkreślający szerokość ramion, na głowie czapka z daszkiem. W ręce trzymał okulary słoneczne. Dlaczego gwiazdom wydaje się, że w czapce i okularach stają się anonimowi? Włosy miał krótsze, niż kiedy jeździł w trasy, ale i tak sięgały mu za uszy. Sprawiał wrażenie nieujarzmionego.

Najdziwniejsze było to, że nie wyglądał na obrażonego. Dzięki Bogu. Ofiarnych ludzi nie brakuje, ale sławnych gwiazd rocka gotowych wesprzeć fundację swoją twarzą i nazwiskiem nie ma znów tak wielu. Anie zakręciło się w głowie.

- Panie Miller, z tylnych drzwi prawie nikt nie korzysta...

- Wiem, próbowałem umknąć paparazzim. Nawet nie miałem czasu wstąpić gdzieś po sproszkowane glony.

Sądził, że ładna brunetka chociaż się uśmiechnie. Jego samego rozbawiła jej uwaga o gwiazdach wciągających nosem glony. Rzadko spotykał ludzi, którzy z niego żartowali.

Dziewczyna, owszem, uśmiechnęła się, ale też zaczerwieniła. Burza ciemnych włosów, oliwkowa cera i wysokie kości policzkowe nadawały jej egzotyczny wygląd.

- Przepraszam, że nie wszedłem od frontu - dodał, próbując ją udobruchać. - Dolecieliśmy do San Diego przez nikogo niezauważeni. Niestety tu natknęliśmy się na Drew

Barrymore, która ze swoim chłopakiem wybierała się na wakacje i na lotnisku roіło się od fotoreporterów...

Wzruszył ramionami. Przez pięćdziesiąt kilometrów faceci z wielkimi aparatami na szyi pędzili za nim w SUV-ach. W ciasnych uliczkach Vista del Mar kierowcy Warda niemal udało się ich zgubić. Ward wyskoczył na tyłach fundacji, a jego asystent z menedżerem pojechali dalej, usiłując zmylić pościg.

- Cześć, jestem Ward Miller - przedstawił się.

- Cześć - odezwała się blondynka. - Christi Cox, zastępca pani dyrektor. - Chichocząc nerwowo, podała mu rękę, po czym trąciła łokciem Anę. - Wcale nie jest nadęty... - powiedziała teatralnym szeptem.

Ward z miejsca poczuł do niej sympatię. Ana postąpiła krok naprzód i również wyciągnęła dłoń.

- Ana Rodriguez. Kieruję tą fundacją. - Zmarszczywszy czoło, wskazała głową okno. - Nie zgubił ich pan.

Wyjrzał na zewnątrz. Przed budynkiem stał jeden biały SUV. Po chwili z piskiem opon zajechał drugi. I trzeci. A z komórki popłynęły dźwięki „Falling Hard”, który to sygnał w ramach żartu zafundowała Wardowi na urodziny jego dowcipna ciotka.

- Przepraszam, muszę odebrać - powiedział Ward, spostrzegłszy, że dzwoni jego asystent Jess.

- Wybacz, stary. Zgubiliśmy ich w okolicach hotelu. Mówiłem Ryanowi, że powinniśmy jechać dalej, ale on się uparł...

- Nie przejmuj się - przerwał mu Ward. Znał swojego menedżera. Ryan nie znosił sprzeciwu, poza tym wyznawał zasadę, że nieważne, co inni mówią, byle tylko mówili. - Rozgośćcie się, a ja przyślę esemesa, kiedy będę potrzebował samochodu. - Zakończył rozmowę i schował telefon do kieszeni. - To co, wyjdziemy do nich? - spytał Anę, zaciśkając rękę na jej ramieniu. - Trzeba rzucić im kość, wtedy zostawią nas w spokoju.

Przez moment kusiło go, aby przesunąć rękę na kark dziewczyny. I zrobił to, zanim zdołał się powstrzymać.

- Chodźmy. - Skinął w stronę drzwi.

- Ja? Ale po co?

- Darmowa reklama. Fundacja na tym skorzysta.

Zamyśliła się.

- Ma pan rację.

Mijając Warda w drzwiach, musnęła go włosami. Pachniały latem, kwiatami i cynamonem oraz słonym morskim powietrzem. Egzotycznie, a zarazem swojsko.

Ward zaklął w duchu, czując, jak jego ciało reaguje na jej bliskość. Przynajmniej nie musi martwić się o swoje serce. Kiedy siedział przy umierającej żonie, przysięgł sobie, że nigdy więcej się nie zakocha.

Gdy tylko wyszedł, zaczęły błyskać flesze. Ana też była przyzwyczajona do hord reporterów. Jednego się nauczyła podczas czteroletniej pracy w show biznesie: że przed każdym obiektywem gwiazdy rozkwitają. Po prostu kochają być w centrum uwagi. Ward nie różnił się od innych. Z lekkością i swobodą odpowiadał na pytania, rozdawał uśmiechy na prawo i na lewo.

- Mam tu spotkanie biznesowe - oznajmił, wskazując na Anę, która obciągnęła wąską spódnicę - zwykle ubierała się bardziej ekstrawagancko, ale dziś chciała wywrzeć wrażenie poważnej osoby - i postąpiła krok naprzód, by opowiedzieć o fundacji, lecz w tym momencie przed mężczyzną z aparatami przecisnęła się brunetka.

Ana rozpoznała Gillian Mitchell z „Seaside Gazette”.

- Czy to prawda, że nagrywasz nową płytę? - spytała dziennikarka. - Krążą plotki, że wynająłeś studio w Los Angeles.

- Nie wykluczam, że jeszcze coś nagram. - Ward wsunął ręce do kieszeni. - Ale na razie jestem producentem płyty miejscowego muzyka Dave'a Summersa. Staram się pomagać młodym artystom. - Mrugnął do dziennikarki.

Ana westchnęła w duchu. Od wymuszonego uśmiechu bolały ją mięśnie twarzy. Facet miał czelność mówić, że wszedł do budynku tylnymi drzwiami, by uniknąć paparazzich. Akurat! Pewnie wszystko zaaranżował. Co za łobuz!

- Dziś przyjechałem tu, żeby wspomóc Fundację Nadzieja Hannah - oznajmił pośpiesznie, widząc, że dziennikarze zaczynają się rozchodzić.

Przystanęli. Na tyle rzadko występował publicznie, że każde jego pojawienie się budziło zainteresowanie. Przedstawił dziennikarzom Anę, która starała się nadać swojej

twarży nieco pogodniejszy wyraz, oni jednak chcieli słuchać jego, a nie jej. Ledwo zdążyła wspomnieć o tym, czym fundacja się zajmuje i podać adres strony internetowej, kiedy pierwsze samochody odjechały.

Po odjeździe ostatniego Ana popatrzyła na Warda. Był spięty. Czy to możliwe, że denerwował się bardziej niż ona? Napotkawszy jej wzrok, uśmiechnął się szeroko.

Na moment zapało jej dech w piersiach.

- Poszło całkiem nieźle - skomentował.

Nerwowym ruchem przeczesła włosy. Uświadomiwszy sobie, co robi, szybko opuściła rękę. Owszem, Ward Miller jest przystojny i czarujący, ale nie zamierzała ulec jego urokowi.

- To prawda - przyznała z wymuszonym entuzjazmem.

Uniósł pytająco brwi.

- Nie lubisz wszystkich celebrytów czy tylko mnie? Bo jeśli tylko mnie, chętnie usłyszę dlaczego.

Wyczuła w jego słowach lekki podtekst erotyczny, a właściwie nie tyle w słowach, co w niskim tembrze głosu. Wielokrotnie widziała, jak gwiazdy manipulują ludźmi, sprawiają, aby spełniali ich życzenia. Sławne kobiety udawały przyjaciółki. Mężczyźni uśmiechem lub spojrzeniem zdawali się obiecywać rozkosze łóżkowe.

Ana zbyt długo mieszkała w Hollywood, aby nabrać się na takie sztuczki. Mimo to jej ciało zareagowało na obietnicę, która nie miała szansy się spełnić.

Ciało swoje, rozum swoje. Strasznie to było irytujące. Muzyk ogromnie jej się podobał. Jako jego długoletnia fanka pragnęła wyrzucić na nim jak najlepsze wrażenie. I pragnęła, aby on sam okazał się normalny i sympatyczny. Wiedziała jednak, że to mało prawdopodobne.

- Masz rację. Nie lubię celebrytów. Dziwisz się? Mogłeś powiedzieć parę słów o naszej fundacji, o jej programie. - Podeszła bliżej i natychmiast tego pożałowała. Co za wspaniały zapach! - A posłużyłeś się fundacją, żeby promować siebie, swój powrót na scenę. Praca, którą tu wykonujemy, jest ważna. Ludzie potrzebują naszej pomocy. Jeżeli ich kosztem zamierzasz realizować własne cele, to... - urwała, po czym wzięwszy głęboki

oddech, pożegnała się z marzeniami nastolatki i dokończyła: - to jesteś zupełnie inny, niż myślałam.

ROZDZIAŁ DRUGI

W szczytowym okresie kariery, kiedy podróżował ponad dwieście dni w roku, przekraczanie stref czasowych nie stanowiło dla niego problemu. Wystarczał łyk kawy i mógł dalej funkcjonować. Teraz to się zmieniło. Albo się postarzał, albo zbyt długo nie jeździł w trasę. Do San Diego przyleciał z Teksasu, gdzie wspomagał organizację charytatywną współpracującą z FCM. Mimo zaledwie dwugodzinnej różnicy czasu obudził się o czwartej nad ranem i nie mógł zasnąć.

Zamiast leżeć beczynnym, wstał, włożył T-shirt, dres, buty do joggingu i ruszył na plażę. Wiedział, że później, w ciągu dnia, brak snu da mu się we znaki, ale wolał poranną przebieżkę od przewracania się z boku na bok.

Mieszkał w domu przy samej plaży. Małe mieszkanie składające się z salonu i sypialni wynajął mu w zeszłym tygodniu Jess. Do wynajęcia było sporo większych, bardziej luksusowych mieszkań, ale Ward wybrał to ze względu na bliskość morza. Cenił sobie prywatność, więc w tej sytuacji z czystym sumieniem Jessa i Ryana umieścił w hotelu. O tak wczesnej porze plaża była pusta. Jeszcze nawet słońce nie wzeszło. Ward biegł po twardym wilgotnym piasku, wsłuchując się w szum fal. Chłodny wiatr szczypał go w policzki.

Przypomniał sobie słowa Any: jesteś zupełnie inny, niż myślałam. W ciągu całego życia sprawił zawód wielu osobom. Osobom, które na nim polegały, które kochał. Nie chciał zawieść kolejnej: pełnej temperamentu ślicznej samarytanki. Pół biedy, gdyby nie mógł spać z powodu napięcia erotycznego, jakie Ana w nim wzbudziła. Pożądanie było niczym fala przyływu: pojawiała się i zniknęła. Na brak kobiet nigdy nie narzekał. Zanim poślubił Careę, korzystał z życia bez umiaru. Z czasem nauczył się kontrolować pożądanie.

Problem z Aną polegał na czym innym: miał wrażenie, że dziewczyna potrafi zajrzeć w głąb jego duszy, dostrzec prawdę i fałsz, i widzi, że on, Ward Miller, nigdy nie

spełni jej oczekiwań. Bo zawsze zawodził. Wszystkich bez wyjątku. Gdy Cara umarła, pogrążył się w rozpacz. Powrót do normalnego życia wymagał od niego wiele wysiłku. Z trudem wygrzebał się z ciemności. Dokonał tego jedyną znaną sobie metodą: zmuszając się do działania.

To tak jak jogging. Prawa noga, lewa, prawa. Byle przed siebie. Nie przystawać. Nie myśleć. Ustawicznie być w ruchu, nie zważać na ból i zakwasy. Zapomnieć o tym, jak z uczuciem bezsilności patrzyło się na śmierć ukochanej kobiety i nie można było nic zrobić, aby temu zapobiec.

Jeśli biegnie się wystarczająco szybko, można uciec od cierpienia, nie pozwolić, aby cię dogoniło.

Od trzech lat pracował osiemnaście godzin na dobę, tworząc Fundację Cary Miller. Zwracał się do wszystkich wpływowych ludzi, jakich znał, i prosił ich o wsparcie finansowe. Praca dawała mu autentyczną satysfakcję.

Odwiedzał inne organizacje charytatywne, przyglądał się, jak funkcjonują, korzystał z ich wskazówek i pomysłów. I znów ruszał w drogę. Pracował bez wytchnienia. Żeby uhonorować żonę i żeby o niej zapomnieć.

Sprzeczność? Owszem, ale nie chciał jej roztrząsać właśnie teraz. Mięśnie go bolały, stawy też, ale nie przystawał. Prawa noga, lewa, prawa; jeden kilometr, drugi, piąty. Tak, Ana miała rację, przyznał w duchu. Fundacja potrzebuje go. Nie wystarczy jedna krótka wizyta w biurze; jeżeli naprawdę chce pomóc, musi tu zostać dłużej.

Jogging zawsze rozjaśniał mu umysł, pozwalał dojrzeć, co jest ważne, a co nie. Dawniej tę rolę spełniała muzyka, zanim Cara zachorowała. Rak zabrał mu nie tylko żonę, ale i chęć do komponowania. Kiedyś nie było dnia, by nie grał na gitarze, by słowa piosenki nie krążyły mu po głowie. Ale te czasy minęły, pozostało tylko bieganie. Lecz nie można biegać w nieskończoność; prędzej czy później trzeba stanąć, złapać oddech, zawrócić do domu.

Zwolnił; pochyliwszy się, oparł dłonie o kolana i wziął kilka głębokich wdechów. Następnie ruszył w drogę powrotną. Ale już nie biegł. Szedł. Kiedy w polu widzenia ukazał się dom, który wynajmował, słońce wytoczyło się nad dachami po przeciwnej stronie ulicy.

Nazajutrz Ana przyjechała do fundacji po zniechęcającej rozmowie w banku. Na razie fundacja miała pieniądze, ale żeby można było z nich korzystać, potrzebne były podpisy członków zarządu. Rafe Cameron nigdy nie odmawiał, ale czasem mijało wiele dni, zanim przeczytał dokument. Ona zaś potrzebowała podpisu na Jutro. W tej sytuacji postanowiła wysłać kogoś - siebie - do Worth Industries z przykazaniem, aby „polował” na Rafe'a.

Weszła do biura tylnymi drzwiami, wołając:

- Nie ma mnie! Wpadłam tylko na moment, żeby zostawić laptopa i...

Urwała. Rozejrzawszy się wkoło, uzmysłowiła sobie, że nikt jej nie słyszy. Gdzie oni się podziiali?

Zwykle o tej porze Christi i Omar od dawna byli w pracy. Przeszła do wspólnego gabinetu. Pusty. Postawiła komputer na biurku. Nagle z sali konferencyjnej dobiegły ją głosy. Skierowała się w ich kierunku.

Omiotła salę wzrokiem. Christi z Omarem siedzieli obok siebie, a miejsce u szczytu stołu zajmowała z otwartym laptopem Emma Worth. Stukała w klawiaturę - jedną ręką, bo drugą miała w gipsie. Na środku stołu stała misa świeżych owoców oraz ciastka i kawa z bistra przy plaży. Cudowny aromat unosił się w powietrzu. Najwyraźniej ktoś zamówił śniadanie do pracy. Podejrzewała, że tym kimś jest Ward, który zwrócony tyłem pisał coś na białej tablicy.

Miał na sobie dzinsy i koszulę w kratę, chyba rozpiętą. Włosy opadały mu na kołnierz.

- Co tu się dzieje, jeśli wolno spytać? - wycodziła.

Trzy głowy drgnęły. Christi i Omar uśmiechnęli się szeroko, Emma zaś spuściła wzrok, jakby przeczuwając reakcję Any. Ręka Warda znieruchomiała przy tablicy. On sam obrócił się i uśmiechnął nonszalancko.

Tak jak się spodziewała, koszulę miał rozpiętą, a pod nią opinający tors wiśniowy T-shirt. Nie wiedziała, jakim cudem wygląda elegancko w takim stroju. Batman w smokingu nie dorasta mu do pięt.

- Już jesteś? Świetnie. Urządzamy burzę mózgów.

- Skąd to jedzenie?

- Z takiej małej knajpki...

- Bistro przy plaży - podpowiedziała Emma.

- No właśnie. Doskonałe miejsce. Przechodziłem obok i...

- A tablica? - Ana zamierzała kupić kilka do biura, ale były pilniejsze wydatki.

- Przyznaję się do winy. - Ward uśmiechnął się promiennie.

Kupił dwie. Na razie stały oparte na czterech krzesłach przyniesionych z innego pokoju. Na jednej widniały słowa: Rzeczy potrzebne. Na drugiej: Jak je zdobyć. Wśród potrzebnych rzeczy nie figurowały ciastka i owoce.

- Czy to nie miło ze strony Warda, że przyniósł nam muffinki? - spytała przesadnie pogodnym tonem Emma.

- Bardzo miło. Aż nie wiem, co powiedzieć - mruknęła Ana.

Wyczuł sarkazm w jej głosie. Zrobiło mu się lekko.

- Częstuj się. - Wskazał na stół. Jedzenia było jak dla wojska. - I usiądź. Dopiero zaczęliśmy...

- Przykro mi, nie mogę. - Pomachała plikiem dokumentów. - Większość dnia spędzę w gabinecie Rafe'a, pilnując, żeby do jutra złożył swój podpis. Wy też musicie się podpisać - zwróciła się do Emmy i muzyka. - Może teraz, zanim wyjdę...

- Jestem umówiony z Rafe'em na kolację - oznajmił Ward, sięgając po teczkę, którą położyła na stole. - Wezmę to i dam mu do podpisu.

- Nie trzeba. - Chwyciła teczkę.

On też. Stali naprzeciwko siebie po dwóch stronach stołu; żadne nie chciało ustąpić. Już nie chodziło o to, które z nich poprosi Rafe'a o podpis. Chodziło o władzę.

Ana czuła na sobie spojrzenia współpracowników. Widziała uśmiech Warda. Przegrała.

- W porządku - rzekła, poddając się. - Ale muszę to mieć jutro z samego rana.

Położył teczkę na stole i wskazał krzesło.

- Usiądź. Ciekaw jestem twoich pomysłów.

Usiadłszy, zobaczyła przed sobą nowy tablet ze specjalnym piórkiem do ręcznego pisania. Inni też je mieli. Christi i Omar nawet już coś notowali.

Przysłuchując się dyskusji, przedzieliła ekran na pół. Po jednej stronie napisała: Rzeczy potrzebne, po drugiej: Jak je zdobyć. A zatem czego potrzebuje? Dodatkowego szkolenia. Więcej czasu na pracę. Rzadszych kontaktów z seksownym muzykiem. Jak to zdobyć? W tej kolumnie postawiła liczne znaki zapytania.

Kilka godzin później - Ward zaprosił wszystkich na lunch do klubu tenisowego - Ana wreszcie mogła zamknąć się w gabinecie i naburmuszyć. Podczas lunchu Emma była w swoim żywiole. Christi i Omarowi wszystko się podobało i wszystko smakowało. Ana próbowała sobie wytłumaczyć, że ich zachwyty wcale nie jest oznaką zdrady, ale nie zdołała sobie przekonać. Kiedy Emma zastukała do drzwi, zastała przyjaciółkę z nosem na kwintę.

- Hej, co ci jest? Nie cieszysz się, że tyle dziś zrobiliśmy? W końcu coś drgnęło.

Ana wzruszyła ramionami, skrzyżowała ręce na piersiach, po czym szybko je opuściła. To był jeden z minusów pracy z osobą, która cię dobrze zna. Rodzice Any przez wiele lat pracowali u Worthów. Mieszkali w niedużym mieszkanku nad ich garażem. Emma jednak nigdy nie traktowała Any jak córki służących. Przeciwnie, uważała ją niemal za siostrę. Ana starała się zachować spokój, nie reagować na przesadnie dobry nastrój przyjaciółki. Kilka miesięcy temu Emma zakochała się w Chase'u Larsonie, przyrodnim bracie Rafe'a, i dosłownie promieniała. Nic dziwnego: zamierzali się pobrać, spodziewali się dziecka.

- Drgnęło? - spytała. - Tak sądzisz?

Emma podniosła do ust butelkę wody, którą - odkąd dowiedziała się, że jest w ciąży - nosiła przy sobie.

- Uważam, że wpadliśmy na kilka świetnych pomysłów. Choćby pomysł festynu... nie podoba ci się?

Postanowili, że zamiast przyjęcia dla zaproszonych gości zorganizują pod koniec miesiąca jednodniowy festyn w centrum Vista del Mar. W ten sposób zyskają większy rozgłos, wzbudzą zainteresowanie mieszkańców.

- Nie jest zły - przyznała bez entuzjazmu Ana - ale najpierw czeka nas mnóstwo roboty. Wciąż wypełniam z księgowym różne druczki, żebyśmy jako organizacja non

profit mieli zwolnienie podatkowe. To mnie bardziej interesuje niż jakaś bezsensowna zabawa na ulicy.

- Bezsensowna? O nie! - sprzeciwiła się przyjaciółka. - Okej, Nadzieja Hannah istnieje, ale ile osób o nas wie? Musimy dotrzeć do jak najszerszego grona, do potencjalnych wolontariuszy, do przyszłych podopiecznych. Czy jest lepszy sposób?

- Emmo, nie twierdzę, że festyn to zły pomysł. Uważam tylko, że można by lepiej wykorzystać pieniądze.

- To wcale nie musi dużo kosztować. Przekonamy lokalnych biznesmenów, żeby wsparli naszą akcję. A Ward namówi miejscowych artystów, żeby dali koncert.

Omar pierwszy wspomniał o koncercie: może Ward by wystąpił? Ward jednak zaproponował usługi muzyka, z którym współpracował jako producent.

- Fajnie - mruknęła Ana. Ona zagania pracowników do nudnej papierkowej roboty, a Ward funduje ciastka i organizuje festyny. Nic dziwnego, że są nim oczarowani. Może by mniej się czepiała, gdyby się nie bała, że i ona ulegnie jego czarowi. - Nie wiesz, dlaczego sam nie chce wystąpić? Zawsze się zastanawiałam...

- Nie mam pojęcia - przerwała jej Emma. Mrużąc oczy, dała jej znać, by zamilkła, po czym nieznacznym ruchem brody wskazała na korytarz prowadzący do tylnych drzwi. - No dobra, mam sporo pracy. Pogadamy później.

Ana skinęła głową, domyślając się, że przyjaciółka dostrzegła Warda. Dlaczego jednak facet nie używa frontowych drzwi?

Emma oddaliła się do swoich obowiązków. Psiakość, co on tu robi? Ana nie liczyła na kolejne spotkanie tego dnia. Czy bogate gwiazdy rocka nie powinny wylegiwać się nad basenem? Czy nie powinny strzelać fochów, urządzać awantur i wciągać w nozdrza sproszkowanych glonów?

- Mogę ci zająć chwilę? - Nie czekając na odpowiedź, wszedł do gabinetu i zamknął drzwi.

- Oczywiście - burknęła.

Gabinet był wielkości dużej szafy. Pod jedną ścianą stało biurko, pod drugą regał; z trudem mieściły się dwa fotele: jeden jej, drugi dla interesantów.

Ward usiadł i wyciągnął nogi, zajmując całą wolną przestrzeń. Powietrze wypełnił leśny zapach... chyba mydła, bo woda kolońska pachniałaby intensywniej. A może to zapach jego skóry? Może lubił wędrówki po lesie?

Ana skarciła się w duchu. Zauważyła, że Ward przygląda się jej z zaciekawieniem. Speszona odwróciła wzrok. Była przyzwyczajona, że mężczyźni ją podrywają. Miała ładną twarz i figurę w kształcie klepsydry, oni zaś mieli stereotypowe poglądy na temat rozwiązłych, pełnych temperamentu Latynosek. Ward jednak patrzył inaczej, bardziej jakby próbował ocenić jej charakter niż stopień rozwiązłości. Ogarnął ją strach, że odkryje jej niedociągnięcia.

Niepokoili ją też własna reakcja. Dlaczego w jego obecności czuje się taka speszona? Dlaczego nagle staje się świadoma własnego ciała? Kosmyk włosów, który wysunął się ze spinki, bosa stopy - buty zsunęła, kiedy usiadła przy biurku - pomalowane na niebiesko paznokci u nóg.

Jakby odgadując jej myśli, Ward popatrzył w dół. Szybko schowała nogi pod fotel. Gdy podniósł wzrok, jego twarz nie zdradzała emocji.

- Musimy porozmawiać - oznajmił.

Szlag by to trafił! Zaraz się zacznie. Że jest mało profesjonalna, że nie ma odpowiednich kwalifikacji, że zachowuje się zbyt nonszalancko, że niebieski lakier budzi w nim obrzydzenie. Miała wrażenie, jakby przejrzał ją na wylot, jakby każda jej próba wytłumaczenia się była z góry skazana na niepowodzenie.

- Jednej rzeczy nie toleruję - ciągnął. - Braku szczerości. Widzę, że mnie nie lubisz i chciałbym wiedzieć dlaczego.

Co? Usiłowała przetrwać jego słowa. Przeszkadza mu, że ona nie darzy go sympatią?

- To nie... - zaczęła.

- Albo mnie nie lubisz, albo mi nie ufasz. W każdym razie coś cię we mnie denerwuje. No, mów. Tylko nie wciskaj mi gadki o celebrytach. Bo nie wierzę, żeby niechęć do nich mogła wpłynąć na to, jak będziesz kierować fundacją.

Zamyśliła się. To prawda, nie cierpiała celebrytów. Ridley Sinclair uczynił jej życie nieznośnym. Inni nie byli od niego lepsi. Ale Ward dotąd niczym się jej nie naraził.

Nerwowo zastanawiała się, co powiedzieć.

- Pytasz, co mi się nie podoba? Choćby to, jak się rzadzisz. Przyjechałeś wczoraj, a dziś już naruszasz nasz skromny budżet, kupując ciastka, owoce i tablice.

- Nie naruszyłem budżetu fundacji.

- Nie? - Czyżby za wszystko zapłacił z własnej kieszeni? Stłumiła jęk. Psiakrew! Jest taki hojny? No, niedobrze! - W porządku. Czyli uważasz, że szastając forszą, osiągniesz cel?

- A nie? - Błysnął zębami w uśmiechu.

- Nie! Jeżeli chcemy zrealizować nasze zamierzenia, musimy ciężko pracować i patrzeć realistycznie...

- Do sedna, Ano. Powiedz mi, czy nasza współpraca będzie stanowiła dla ciebie problem?

W jej głowie rozległ się dzwonek ostrzegawczy. Potarła pod biurkiem stopy. Jaki ma wybór? On jest jeden, wielki gwiazdor sceny muzycznej, chętny do pomocy. A ona? Ona jest nikim. Tysiące osób czeka, by zająć jej miejsce, jeśli powinie się jej noga. To po pierwsze. A po drugie... Cholera, nie chciała czuć do niego sympatii.

Westchnęła cicho. Czy współpraca z Wardem będzie stanowiła dla niej problem? Może. Czy kiedykolwiek mu się do tego przyzna? Nigdy.

- Nie, nie będzie - odrzekła, uśmiechając się ciepło.

Skinął głową.

- Wiesz, że miałem dwanaście lat, kiedy po raz pierwszy wystąpiłem na scenie?

Odruchowo podniosła rękę i odgarnęła za ucho luźny kosmyk włosów.

- Nie.

- Pierwszą umowę na płytę podpisałem w wieku piętnastu lat. W wieku dziewiętnastu nagrywałem w jednej z największych wytwórni.

Może to był jego sposób mówienia, może to, jak na nią patrzył, ale nie miała wrażenia, by się przechwalał lub próbował imponować. Po prostu stwierdzał fakty.

- Działam w tym biznesie od dwudziestu czterech lat. Prawie tyle samo, ile ty sobie liczysz. - Splótł palce na piersi. - Spotykam różnych ludzi. Takich, którzy usiłują mnie wykorzystać, którzy twierdzą, że chcą mnie chronić, którzy pragną się ze mną zaprzyjaź-

nić. Kiedy człowiek tak długo siedzi w tym biznesie, to albo staje się jednym z tych wariatów, którzy pięć razy dziennie wciągają sproszkowane glony, albo uczy się rozpoznawać, gdy ktoś wciska mu kit. - Pochylił się do przodu. - Nie cierpię glonów.

Ana starała się zachować powagę. Cholera, w dodatku facet jest dowcipny!

- Właściwie tylko jedną rzecz potrafię robić lepiej, niż grać na gitarze: wychwytywać kłamstwo. Więc może zaczniemy od początku i powiesz mi, co ci we mnie przeszkadza.

TLR

ROZDZIAŁ TRZECI

Poczuła się tak, jakby ktoś ją uderzył. Co miała zrobić? Powiedzieć: „Jesteś boski. I to mnie wnerwia”? Lub: „Nie mam kwalifikacji do tej roboty. Ledwo utrzymuję się na powierzchni. Gdybyś wiedział, jak bliska jestem utonięcia, kazałbyś mnie wywalić”?

Znalazła inne rozwiązanie. Postanowiła opowiedzieć mu o sobie.

- Miałam dwanaście lat, kiedy rodzice przenieśli się tu z Los Angeles. Między L.A. a Vista del Mar istnieje jednak przepaść, mimo że leżą blisko siebie. Ojciec dostał pracę jako ogrodnik Worthów, mama jako gospodyni. Mieszkaliśmy nad ich garażem. Byliśmy służbą, ale Worthowie nigdy nas tak nie traktowali.

Oparłszy łokcie na kolanach, przyglądał się jej z powagą. Dziwne to było. Przywykła do gwiazd, które słuchały w skupieniu tylko wtedy, gdy się mówiło na ich temat, a Ward wydawał się autentycznie zainteresowany tą historią.

Nagle zrobiło się jej duszno. Jakby pokój, w którym przebywali, się skurczył. Uzmysłowała sobie, że Ward zajmuje zbyt wiele miejsca. Znalazła nogami buty, włożyła je i wstając, wskazała drzwi.

- Muszę sprzątnąć salę konferencyjną. Jeśli chcesz rozmawiać, to zapraszam. Owoce trzeba schować, inaczej zgniją. - Idąc korytarzem, ciągnęła swoją opowieść. - Pewnie myślisz: Po co ona mi to wszystko mówi? Otóż chcę, abyś zrozumiał, że wyjazd z L.A. nas uratował. Nie tylko mnie i rodziców, ale całą naszą rodzinę. Bo za nami przyjechali do Vista del Mar kuzyni, ciotki, wujowie...

Zmrużył oczy. Próbował nadażyć za jej tokiem myślenia, zrozumieć, do czego zmierza, ale nie bardzo potrafił. Odwróciła się do niego twarzą. - Może to banalne, co powiem, ale Vista del Mar to szczególne miejsce. Oczywiście nie jest idealne. Mamy swoje problemy, lecz trzymamy się razem. Pomagamy sobie. Przyjemnie się tu mieszka, przyjemnie dorasta. To znaczy, kiedyś tak było. Jednak kiedy wrócił Rafe Cameron i przejął Worth Industries...

- Pewnie nie darzysz go sympatią?

Przeniosła spojrzenie z twarzy mężczyzny na salę konferencyjną. Wszędzie leżały pamiątki po ich wcześniejszej naradzie. Ana sięgnęła po pokrywkę i zgrabnym ruchem zatrzęsła ją na pojemniku z owocami.

- Nie chcę źle o nim mówić. Jest twoim przyjacielem.

Najwyraźniej Ward nie czuł potrzeby porządkowania miejsca, bo usiadł w fotelu i wyciągnął przed siebie nogi.

- A twoim szefem - oznajmił z nutą ostrzeżenia w głosie.

Ana skinęła głową. Lubiła wiedzieć, na czym stoi. Skupiła uwagę na tacy z ciastkami. Została jedna muffinka, czekoladowa z orzechami i bananami. Jej ulubiona. Postanowiła zostawić ją sobie na później.

- Wiem. I naprawdę doceniam jego wkład w naszą fundację.

- Kto by nie doceniał tych milionów, jakie przeznaczają na rozwój miasta? - zauważył kwaśno Ward.

Rafe był założycielem Nadziei Hannah i prezesem zarządu, Ana jednak miała wrażenie, że sprawy fundacji niewiele go obchodzą. Dokooptował do zarządu Warda oraz na prośbę Ronalda Wortha jego córkę Emmę, która cieszyła się ogromną sympatią miejscowej ludności. Poza tym stanowiła jakby pomost między Worth Industries, którym dawniej kierował jej ojciec, a nowym koncernem, na czele którego stał Rafe. Jej obecność miała uspokoić mieszkańców.

Tak jednak się nie stało. Wiele osób, które od lat pracowały w Worth Industries, dostało wypowiedzenie. Część przeszła na wcześniejszą emeryturę. Krążyły plotki, że Rafe chce sprowadzić do miasteczka swojego pijarowca, Maxa Prestona. Po co?

Zignorowawszy przytyk Warda, Ana podjęła przerwana opowieść.

- Odkąd wróciłam, widzę, że wszystko się tu zmieniło. Ludzie są zdenerwowani. Jeśli Rafe zamknie fabrykę, to będzie katastrofa.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Ale co to ma wspólnego z Nadzieją Hannah?

- Mnóstwo. Gdyby Rafe był bardziej zaangażowany, można by znacznie więcej osiągnąć.

Ward zmarszczył w zadumie czoło.

- Zaangażowany? Jak?

- Nie wiem. Bardziej. - Zebrała talerzyki, serwetką zgarnęła na rękę okruchy. - Widziałam go raz, przez dwie minuty, kiedy wybrałam się do niego na rozmowę kwalifikacyjną. - Z trudem powstrzymała się, by przy „rozmowie kwalifikacyjnej” nie wykonać znaku cudzysłowu.

Najpierw przez godzinę czekała, aby Rafe raczył ją przyjąć. Następnie wprowadzono ją do gabinetu szefa, który rzucił na nią okiem, po czym utkwiał wzrok w laptopie.

- Emma mówi, że nadajesz się do tej roboty - mruknął pod nosem. - Nie zawieź jej.

Ot, i cała rozmowa kwalifikacyjna.

- Uważaj, czego pragniesz - ostrzegł ją Ward. - Rafe potrafi być niezwykle wymagający.

Odwróciła się. Znów bacznie się w nią wpatrywał.

- Rozumiem. Mimo to wolałabym, żeby odrobinę więcej się angażował. - Podeszła do tablic, które wciąż stały na krzesłach. Na jednym leżała nierozpakowana gąbka. - Porozumiewamy się mejlowo. Piszę do niego, jak mam jakieś pytanie, a on odpisuje. - Zdarła opakowanie z gąbki, po czym zniżyła głos, upodabiając go do głosu Rafe'a. - „Ufam twojej ocenie”. Tak za każdym razem brzmi jego odpowiedź. - Zaczęła ścierać tablice. Czowała dziwną satysfakcję, usuwając ślady wcześniejszej burzy mózgow. Gdyby każdy problem dawało się z taką łatwością wyeliminować. - Podejrzewam, że on nawet nie pisze tego jednego zdania, tylko wkleja je z poprzedniego mejla.

- A może ufa Emmie? Skoro cię poleciła.

Zajęta czyszczeniem tablic, nie zauważyła, kiedy Ward wstał. Po prostu obejrzawszy się, nagle spostrzegła, że stoi tuż za nią. Trochę za blisko. Widziała złociste cętki na jego tęczówce. Dlaczego nie słyszała jego kroków?

Wciągnęła gwałtownie powietrze. Znów uderzył ją w nozdrza jego zapach, czysty i ożywczy.

- On jej prawie nie zna - powiedziała.

Odchrząknęła.

Była zła na siebie. Co ją obchodzą złote cętki w oczach Warda? Zaraz, zaraz, o czym to mówiła? A tak, że Rafe za słabo zna Emmę, by ufać jej opinii. Jej, Any, w ogóle nie zna. Czyli te mejle pisze na odczepnego.

- Ale swojego przyrodniego brata zna od lat - zauważył Ward. - Skoro Chase ufa Emmie, to Rafe też.

Ward położył rękę na przedramieniu Any. Najwyraźniej chciał ją pocieszyć. Zrobiło jej się gorąco. Przez moment nie była w stanie oddychać. I nagle doznała olśnienia. To nie jest ręka zwykłego mężczyzny. To jest ręka Warda, którą wydobywa z gitary niesamowite dźwięki.

Podniosła wzrok i znów napotkała jego spojrzenie. Potrząsnęła głową, jakby próbowała uwolnić się spod uroku, jaki na nią rzucił. O czym mówili? Chyba o fundacji. I o tym, że jej, Anie, przydałaby się pomoc.

- Po prostu jest mi trudno. Chciałabym mieć jakieś wsparcie...

- Na moje zawsze możesz liczyć.

Ręka Warda wciąż spoczywała na jej przedramieniu. Dlaczego jeszcze jej nie zabrał? Dlaczego sama nic nie zrobiła, nie cofnęła się?

- Mówię serio - rzekła, oswobodziwszy się. - Nadzieja Hannah to coś więcej niż fundacja czy organizacja charytatywna. To szansa na to, aby społeczność się zjednoczyła...

- Wiem. Rafe wszystko mi wytłumaczył. Co do jednego masz rację. - Wyjął gąbkę z jej ręki i wyczyścił drugą tablicę. - Na Rafe'u nie możesz polegać.

Zaskoczona jego szczerością, oderwała oczy od tablicy.

- Ale...

- Nie, nie martw się. Dotrzyma słowa. Ale w kwestii finansowania nie powinnaś polegać wyłącznie na nim. Potrzebujesz pieniędzy z innych źródeł. Musisz rozreklamować waszą działalność, i w tym mogę ci pomóc.

Poczuła przyjemny dreszcz. Jego głos miał uwodzicielskie brzmienie. Żałowała, że na stole nie leży więcej okruchów, które mogłaby zgarnąć. Na szczęście Ward sprawiał wrażenie nieświadomego swego czaru.

- W Fundacji Cary Miller pracuje mnóstwo znakomitych ludzi. Jeśli nie ufasz mnie ani Rafe'owi, to chociaż im zaufaj.

Ze zdenerwowania zaczęła wykręcać ręce.

- Więc uważasz, że ktoś z FCM lepiej ode mnie by pokierował Nadzieją Hannah?

- Hola, hola! - zawołał. - Tego nie powiedziałem.

- Ale tak uważasz? Że ktoś inny zdołałby więcej osiągnąć? - spytała z pretensją w głosie. Cholera, za kogo on się ma? Jakim prawem ją krytykuje? Jest muzykiem, zna się na komponowaniu i śpiewaniu, a nie na prowadzeniu organizacji non profit... Nie, psia-kość. Kto jak kto, ale akurat Ward Miller zna się na dobroczynności. - Wiem, że kiedy zakładałeś Fundację Cary Miller, wynająłeś najlepszych ludzi pod słońcem...

Starła się przełknąć gorycz. Działająca na rzecz zdrowia małych dzieci FCM cieszyła się popularnością na całym świecie. W znacznej mierze przysłużył się do tego Ward. Ana policzyła w myślach do pięciu i wzięła głęboki oddech. Nie zamierzała wyładowywać na nim frustracji. Co z tego, że przyjaźni się z Rafe'em? Ma prawo. A że Rafe powołał Nadzieję Hannah dla poprawy wizerunku po tym, gdy Cameron Enterprises przejęło Worth Industries...?

Przeszła na koniec sali, chcąc się zdystansować od Warda. Nie pomogło, nadal brakowało jej powietrza.

- Naszych fundacji nie można porównywać. FCM działa niezwykle skutecznie. To, czego dokonaliście... - szukała właściwego słowa - przekracza ludzkie wyobrażenie.

Uśmiechając się, skinął głową, jakby chciał podziękować za komplement.

- Jak mówiłem, pracują tam wykwalifikowani ludzie.

- No właśnie. A tu pracuję ja.

- Nie o to mi chodziło.

- Kiepsko sobie radzę - szepnęła, odgarniając włosy z twarzy - Marzyłam o tej pracy. Chciałam wszystkich zadziwić, a okazało się... - Nie sądziła, że tak trudno będzie się przyznać do własnych niedociągnięć. - Okazało się, że się nie sprawdzam. Przez jakiś czas pracowałam w L.A. jako wolontariuszka. Myślałam, że mam pewne przygotowanie. Poza tym jestem w miarę inteligentna, pracowita. Wszystko mi w życiu wychodziło.

Uważałam, że to wystarczy. Myliłam się. Może gdyby fundacja działała już kilka lat, byłoby lepiej, ale ilość spraw związana z uruchamianiem organizacji mnie przerasta.

Ugryzła się w język, ale było już za późno. Nie mogła cofnąć tego, co powiedziała. Chryste, nie miała się komu żalić? Musiała wybrać jedną z dwóch osób, które mogą ją zwolnić? To członkowie zarządu decydowali o tym, kto zajmuje jakie stanowisko. Emma nie głosowałaby za tym, by wyrzucić ją z pracy, ale gdyby Ward przekonał Rafe'a, byłiby w większości.

Patrzył na nią z uśmiechem, z lekko uniesionymi brwiami, jakby zdziwiony jej brakiem wiary w siebie.

- Nie zrozum mnie źle - ciągnęła. - Nie boję się ciężkiej pracy. Nawet porażki się nie boję. Ale nie chcę zawieść innych. Podczas czterech lat w Hollywood miałam do czynienia z... trudnymi przypadkami, z podłymi i zawistnymi ludźmi. Myślałam, że po takiej szkole życia ze wszystkim sobie poradzę. - Roześmiała się gorzko. - Boże, nie lubię się mylić.

Ward podszedł do niej i delikatnie obrócił ją do siebie.

- Dasz radę.

Utkwiła spojrzenie w jego twarzy. Nie mogła uwierzyć, że sławny i seksowny Ward Miller stoi tuż obok i rozmawia z nią jak równy z równym. Po chwili wzięła się w garść. To nie był odpowiedni moment na bujanie w obłokach.

Ward cofnął ręce, po czym wsunął je do kieszeni spodni.

- W początkowym okresie działania FCM też borykałem się z problemami. Owszem, miałem personel. Zatrudniłem najlepszych fachowców, jakich udało mi się znaleźć, ale większość rzeczy chciałem robić sam. Rozpaczliwie potrzebowałem jakiegoś zajęcia.

Słuchała go z zapartym tchem. Od śmierci Cary minęły trzy lata. Podejrzewała jednak, że upływ czasu wcale bólu nie łagodzi. Dowiedziawszy się od Emmy, że trzecim członkiem zarządu jest Ward, postanowiła wyszperać informacje na jego temat. Uzmysłowiła sobie bowiem, że właściwie nie ma pojęcia, czym się Ward zajmuje, odkąd przestał występować. W Google'u była masa najdrobniejszych szczegółów o śmierci Cary, między innymi ostatnie słowa, jakie Ward wypowiedział do żony. Ana, zde gustowana

tak brutalnym naruszeniem prywatności dwojga ludzi i zła na siebie, że w ogóle zaczęła czytać wpisy, pośpiesznie zgasła komputer. Nie dość, że człowiek traci bliską osobę, to jeszcze trafia na strony brukowców. Koszmar!

- To musiało być straszne... śmierć żony...

Skinął głową, przyjmując jej nieudolnie wyrażone kondolencje.

- Skoro ja sobie poradziłem z FCM - dodał po chwili - ty sobie poradzisz z Nadzieją Hannah. Jestem tu po to, żeby ci pomóc.

- Jesteś w zarządzie. Jesteś też twarzą fundacji. To wystarczy. Nie mogę pozwolić, żebyś wykonywał moją pracę - zaprotestowała.

- Wcale tego nie robię. Wykonuję swoją pracę.

- Nie rozumiem.

Uśmiechnął się, widząc jej zmieszanie.

- Chyba nie wiesz, czym się FCM zajmuje, prawda?

- Zapewnia opiekę zdrowotną dzieciom z biednych rodzin.

- Owszem. - W jego oczach pojawił się figlarny błysk. Ana przysunęła się bliżej; miała wrażenie, jakby Ward zamierzał dopuścić ją do ważnej tajemnicy. -

Z początku taką miałem intencję. Potem uświadomiłem sobie, jak trudno jest założyć organizację non profit. Bez pieniędzy i znajomości niczego bym nie osiągnął. Dlatego stworzyłem odgałęzienie FCM.

- Odgałęzienie?

- Tak. Cara miała bzika na punkcie pomagania dzieciom. A ja... mnie podnieca co innego.

- To znaczy? - zapytała. Czowała, jak przeskakują między nimi iskry, starała się jednak niczego nie okazać.

- Namieszałem ci w głowie?

- Trochę - przyznała.

- Inkubator biznesowy. Słyszałaś o czymś takim? Niedawno był artykuł na ten temat w prasie.

- Chodzi o firmę, która pomaga powstać innym firmom?

- Uhm. Drugi oddział FCM, ten, o którym mało kto wie, jest właśnie takim inkubatorem. Szukamy ludzi, którzy mają wspaniałe pomysły, i pomagamy im rozpocząć działalność. Nie wykonujemy za nich pracy, jedynie oferujemy im szkolenie i fundusze.

- Nic o tym nie wiedziałam. Jak to możliwe?

- Nie wiem. - Był równie zdziwiony jak ona. - Rafe na pewno wiedział, dlatego poprosił, abym zasiadł w zarządzie Nadziei Hannah.

- No tak - mruknęła. - A mnie słowem o niczym nie wspomniał. - Ogarnęła ją złość. Nie lubiła działać w ciemno.

- Sądziłem, że cię uprzedził.

- Źle sądziłeś, w dodatku... - Ściągnęła brwi, usiłując sobie przypomnieć treść rozmowy, kiedy Emma zadzwoniła z informacją o planowanym przyjeździe Warda.

Co takiego powiedziała przyjaciółka? Czy w ogóle słuchała jej wyjaśnień? Pewnie na dobre trzydzieści sekund opuściła słuchawkę i wydała z siebie niemy pisk radości. Dopiero parę minut później uzmysłowiła sobie, co oznacza przyjazd Warda. Że będzie pracował z nią, ale tak naprawdę to będzie pracował dla Rafe'a. Podniecenie zastąpił niepokój. Przypomniała sobie, jak wyglądały jej kontakty z gwiazdami hollywoodzkimi. Fantazje na temat Warda prysły. Wiedziała, że będzie musiała zmierzyć się z prawdziwym człowiekiem, a nie jego wyidealizowaną wersją. No i musi być ostrożna, nie ulegać iluzji.

W tym czasie na drugim końcu linii Emma cały czas coś mówiła. Być może tłumaczyła, na czym będzie polegała pomoc Warda. A Ana, zajęta własnymi myślami, po prostu tego nie słuchała.

- Może... Emma wszystko mi wyjaśniła - przyznała teraz, masując palcami skronie, by pozbyć się napięcia. - Może coś źle zrozumiałam. Tak, pewnie tak. Emma nie próbowałyby niczego przede mną ukrywać.

Emma całe serce wkładała w działalność charytatywną. Ana nie mogła zawieść przyjaciółki. Nie chciała także zawieść Warda. Obiecała sobie, że jeśli Ward jej nie wyrzuci, wówczas stanie na głowie, aby fundacja rozkwitła. Pełna entuzjazmu wyprostowała się.

- No dobrze, znawco inkubatorów. Zamieniam się w słuch. Mów, co robimy?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Pytanie Any zawisło w powietrzu. Co robimy?

Mogliby się wybrać na kolację do jakiejś przytulnej knajpki. Zamówiłby pyszne jedzonko, dobre wino. Albo mogliby pojechać na plażę i położyć bosy po piasku. Rozpuściłby Anie włosy - po jakie лихо je upina? - wtuliłby nos w jej szyję, wdychał upajający cynamonowy zapach. O tak, miał mnóstwo pomysłów, ale żaden nie był stosowny. Z żadnym nie mógł wyjść do kobiety, z którą współpracował, więc odetchnął głęboko i odpowiedział:

- To proste. Jedziemy do Charlestonu.

- Gdzie? - Zamrugła.

Parsknął śmiechem na widok jej zdumionej miny.

- Do Charlestonu - powtórzył.

- Do miasta Charleston?

- No przecież nie na tańce. Zresztą na tańce nie śmiałbym cię zaprosić. Każdej partnerce depczę po palcach.

Zmrużyła oczy, niepewna, jak potraktować jego słowa.

- Nie wierzę.

- Słowo honoru. Mam dwie lewe nogi.

Potrząsnęła głową.

- Co jest w Charlestonie?

- Siedziba FCM. Kiedy zobaczysz, co tam robimy...

- Zwariowałaś? - oburzyła się. - Pomysł festynu jest niezły, ale wymaga przygotowania, poza tym mam normalną pracę w fundacji, więc nie wyobrażam sobie, abym mogła wszystko rzucić i ot tak, dla kaprysu, wyskoczyć do Charlestonu. Nawet gdybyśmy mieli w budżecie pieniądze na taką podróż, to... to nie mogę urwać się na kilka dni.

Podobało mu się, że Ana nie boi się wyrażać swoich myśli. Większość ludzi potulnie przyznawała mu rację, ona zaś nie przejmowała się tym, że rozmawia z gwiazdą.

- Wcale byś się nie urywała z pracy - zaproponował. - Nie proponuję wyjazdu w celach turystycznych. To byłby wyjazd służbowy. Poznałabyś naszych prawników, księ-

gowych, ludzi, którzy pokazaliby ci, jak można wszystko usprawnić. Dwa, góra trzy dni i bylibyśmy z powrotem. Jeżeli wyjedziemy w niedzielę wieczorem, obiecuję, że wrócisz do San Diego w porę, aby przygotować się na ślub Chase'a i Emmy.

Ślub miał odbyć się w najbliższy weekend.

- Nie wiem, jak bym to miała uzasadnić...

Potraktował to jako odpowiedź twierdzącą. Nie słuchając jej dalszego wywodu, wyciągnął iPhone'a i połączył się ze swoim asystentem. Był w połowie rozmowy, kiedy Ana zorientowała się, że Ward jej nie słucha. Stała przed nim z rękami na biodrach i zmrużyła groźnie oczy.

- Poczekaj moment, Jess - mruknął do telefonu, po czym uniósł pytająco brwi.

- Czy dobrze usłyszałam? Powiedziałeś „pierwsza klasa”?

- To długi lot. Nocny. Nie chcesz lecieć w klasie turystycznej.

- Nie chcę w klasie turystycznej? Ja w ogóle nie chcę!

- Zaufaj mi. Nie pożałujesz.

W słuchawce ponownie rozległ się głos Jessa. Ward skupił się na rozmowie. Mniej więcej po minucie poczuł lekkie klepnięcie w ramię. Obróciwszy się, zobaczył Anę. Była chyba zła.

- Zadzwoń, jak będziesz znał szczegóły lotu - poprosił asystenta i schował telefon do kieszeni.

- Nie mogę wyjechać.

- Możesz.

- Mam mnóstwo roboty papierkowej, z którą zalegam, poza tym muszę zaplanować festyn.

- Już to mówiłaś, szukasz wymówki. A z festynem nic nie musisz robić.

- Muszę. Wszyscy są tacy przejęci...

- No właśnie. Skoro są przejęci, to niech sami zajmą się planowaniem. Ty naprawdę nie musisz wszystkiego robić. W razie czego Jess pomoże. I mój menedżer, Ryan. Nudzi się jak mops. Będzie zachwycony, mając zajęcie.

- Dla ciebie wszystko jest takie proste - zauważyła z pretensją w głosie.

- Bo jest.

Trzymał ręce na jej ramionach. Nagle coś sobie uświadomił: że w przeciwieństwie do kobiet z show biznesu, Ana ma normalne miękkie ciało, które nie składa się z samej skóry i kości. Nie jest gruba, ale nie jest też chudzielcem. Miała ponętnie zaokrąglone biodra, wydatny biust... Wziął głęboki oddech, jeden, drugi. Znów uderzył go w nozdrza jej zapach. Cynamonowo-waniliowy. Mmm. Oczami wyobraźni ujrzał ją z rozpuszczonymi włosami, z odrzuconą do tyłu głową, z szyją, która aż prosi się o pocałunki. Na wszelki wypadek opuścił ręce i cofnął się parę kroków.

Słusznie robił, nalegając na wyjazd do Charlestonu. Przez kilka dni Ana wiele się nauczy. Zdobyta wiedza i doświadczenie przydadzą się jej w fundacji. Bał się jednak tej podróży. Skoro teraz Ana wzbudza w nim tak silne pożądanie, co będzie później? Cholera! Co ma zrobić? Przecież nie zostawi jej na lodzie. Poza tym obiecał Rafe'owi, że jej pomoże, a on nie rzuca słów na wiatr.

Odwrócił się i uśmiechnął.

- Umówmy się tak: spędzisz trzy dni w Charlestonie, Jeśli po powrocie uznasz, że zmarnowałaś czas, z własnej kieszeni pokryję koszty festynu.

- To niemożliwe - sprzeciwiła się.

- Uważasz, że mnie nie stać? - spytał, udając, że nie rozumie. - Jestem bardzo bogatym człowiekiem.

- Wiem. - Prychnęła. - Nie o to mi chodzi. Po prostu nie mogę przyjąć od ciebie pieniędzy.

- To byłaby darowizna na rzecz fundacji.

- To byłaby próba przekupstwa.

Objął ją ramieniem. Niewinnie, po koleżeńsku. I z miejsca zreflektował się, że popełnił błąd. Ana z kolei zeszywniała, jakby nie ufała jego intencjom. Bardzo mądrze! Bo kolega nie podnieca się, gdy czuje zapach jej włosów. Kolega nie marzy o tym, by zderzeć z niej ubranie i ujrzeć ją naga. Zresztą nie tylko ubranie, również maski, które nakładała na twarz.

Panując nad pożądaniem, delikatnie podprowadził Anę do stołu, na którym leżało pojedyncze ciastko. Zauważył wcześniej, jak łakomie na nie zerka.

- Pierwsza zasada obowiązująca w organizacjach non profit brzmi: kiedy bajecznie bogaty darczyńca ofiarowuje pieniądze, to się je bierze.

- Ja nie... - Potrząsnęła głową. - Przekręcasz moje słowa.

- Czyżby? - Wepchnął jej do ręki muffinkę.

Mimo złości odgryzła kawałek. Wyglądała jak krnąbrna pięcioletka niezadowolona z tego, że mimo wczesnej pory rodzice każą jej iść spać.

- Czy masz świadomość, że jesteś wyjątkowo trudny we współpracy?

- Druga zasada obowiązująca w organizacjach non profit: nie należy obrażać bajecznie bogatych darczyńców, którzy ofiarują pieniądze.

- Nie obrażam. To było pytanie. - Odłamała kolejny kawałek muffinki. - Są jeszcze jakieś zasady, o których powinnam wiedzieć?

- Porozmawiamy o nich w samolocie.

Podejrzewał, że podczas trwającego pięć i pół godziny lotu nie zdoła zmrużyć oczu. Popatrzył na Anę; sprawiała wrażenie równie zachwyconej jak on. Uśmiechnęła się.

- Świetnie. Nie mogę się doczekać.

Była święcie przekonana, że Ward zamierza lecieć z nią. Kiedy nie było go w samochodzie, który po nią przysłał, sądziła, że spotkają się na lotnisku. Ale tam również go nie było. Był za to Jess z informacją, że Ward musi zostać, bo Rafe przełożył na poniedziałek zebranie zarządu. Ana oświadczyła, że w takiej sytuacji ona też zostanie. Jess jednak zaprotestował: absolutnie nie powinna zmieniać planów, oświadczył, odprowadzając ją do samolotu.

Trzydzieści sześć godzin później pozbyła się strachu o swoją przyszłość. Nie wiedziała, czy Ward wierzył w jej umiejętności, czy nie, ale sądząc po tym, jak się do niej odnosili ludzie w FCM, na pewno nie zamierzał jej zwolnić.

W Charlestonie odwieziono ją do hotelu, by mogła odpocząć po podróży. Na szczęście zdołała pospać w samolocie, więc teraz wystarczyła jej tylko krótka drzemka. Potem przez kilka godzin przyglądała się pracy jednej z dyrektorek fundacji. Stacy Goebel, wieloletnia przyjaciółka Cary, wcześniej zajmowała kierownicze stanowisko w firmie marketingowej. Ward zaproponował jej przejście do FCM. Wieczorem zaprosiła

Anę na kolację do popularnej w mieście restauracji. Z kolei nazajutrz Aną zajęła się osoba prowadząca drugą gałąź fundacji, tak zwany inkubator.

Po paru godzinach Anie szumiało w głowie od nadmiaru wrażeń i informacji. Dowiedziała się wielu rzeczy, na które sama nigdy by nie wpadła. Stacy umówiła ją na lunch z prawnikiem fundacji, a ten polecił jej prawnika w San Diego, który mógłby prowadzić sprawy Nadziei Hannah. Po południu Ana wróciła do FCM; wieczorem słała się na nogach i ledwo była w stanie myśleć.

Stacy znów zaprosiła ją na kolację. Czekaając na nią w holu fundacji, Ana rozglądała się z zaciekawieniem. Hm, pośrodku recepcja, na lewo nieduża poczekalnia, w gablotach liczne nagrody, jakie Ward zdobył w ciągu kariery, a na ścianach złote i platynowe płyty.

Stacy pojawiła się w momencie, gdy Ana dotarła na koniec holu, gdzie na specjalnym stojaku za szkłem stała stara gitara akustyczna firmy Alvarez. Jej mahoniowe boki i plecy lśniły w padającym na nie świetle. Przód był podrapany.

- Znalazłaś naszą galerię.

- Niesamowita kolekcja. Ale... Ward nie sprawia wrażenia człowieka, który lubi chwalić się osiągnięciami.

- Nie lubi.

- Przepraszam, to zabrzmiało jak krytyka.

- Pomysł galerii wyszedł od dekoratora. Ward prawie nigdy tu nie zagląda, choć sam przyznaje, że pomysł był strzałem w dziesiątkę. W tym pokoju urządzamy imprezy, z których dochód przeznaczony jest na cele dobroczynne.

Tak, to pasuje do Warda, uznała Ana. Chwali się osiągnięciami wtedy, gdy służy to jakiejś sprawie, w tym wypadku zbiórce pieniędzy na FCM.

- O czym myślisz? - spytała Stacy, widząc, że Ana przygląda się gitarze.

- Czy to ten alvarez?

- Tak, to ten alvarez - potwierdziła z uśmiechem kobieta.

Bywają muzycy rockowi, którzy uwielbiają niszczyć drogi sprzęt. Ward do nich nie należał. Grał na swojej starej wysłużonej gitarze, odkąd w wieku piętnastu lat kupił ją

w Memphis. Wiedział o tym każdy jego fan. Gitara obrosła legendą. Stała się równie znana jak jego niski ochrypły głos i znakomite palcówki.

- Wiesz - ciągnęła po chwili Stacy - przyjaźniłam się z Carą, zanim zaczęła spotykać się w Wardem. Jak mi go przedstawiła, nie mogłam wydobyć z siebie słowa. Na widok gitary po prostu opadła mi szczeka. A kiedy pierwszy raz usłyszałam, jak na niej gra, popłakałam się.

Ana doskonale to rozumiała. Korciło ją, aby dotknąć instrumentu. Pewnie dlatego stał za szybko, że wielu fanów miało identyczną pokusę.

- A co tu stoi, kiedy Warda ją zabiera?

Na twarzy Stacy odmalował się smutek.

- Nie zabiera.

- Jak to? Czytałam, że to jedyna gitara, na której komponuje. Że... - Ana urwała.

- Fundacja powstała cztery miesiące po śmierci Cary. Jedyne osoby, które dotykają gitary, to ludzie z ekipy sprzątającej.

- Ward nigdy...?

- Ani razu.

- To straszne. Ogromnie żałuję.

- Ja też - przyznała Stacy.

Ward trzymał karierę i talent za szybą, z dala od kurzu, z dala od ciekawskich oczu, z dala od cudzego, a także własnego dotyku. Próbując rozwiązać smutny nastrój, Stacy uśmiechnęła się do Any.

- Więc jak? W sumie warto było tu przyjechać?

- Słucham? - Ana popatrzyła na nią zdziwiona.

- W pierwszych godzinach sprawiałaś wrażenie... bo ja wiem... podejrzliwej.

- Wydawało mi się, że potrafię ukrywać emocje, ale najwyraźniej się myliłam. - Odgarnęła za ucho kosmyk włosów. - Miotalam się w fundacji. Nie radziłam sobie ze wszystkimi obowiązkami. Nie wierzyłam, że przyjazd do FCM cokolwiek da. Poza tym - roześmiała się - sądziłam, że Ward przysłał mnie tu, aby pod moją nieobecność zwołać zebranie zarządu.

Stacy zmarszczyła czoło.

- Po co?

- Pewnie uznasz, że mam paranoję, ale... Może stwierdził, że kiepsko sobie radzę? Może postanowił się mnie pozbyć i przyjąć kogoś o większych kwalifikacjach?

Skierowały się w stronę parkingu. Przez moment Stacy milczała, po czym uśmiechnęła się szeroko.

- Akurat o to nie musisz się martwić. Nie przysłałby cię tu, gdyby zamierzał się z tobą rozstać. Rzadko miewamy gości.

- Sądziłam, że stale ktoś przyjeżdża, żeby się poduczyć.

- Nie, zwykle porozumiewamy się przez internet, robimy wideokonferencje, prowadzimy szkolenia na odległość, odpowiadamy na pytania i wątpliwości mejlem i telefonicznie. Tobie Ward postanowił zafundować przyspieszony kurs. Nie dlatego, żeby miał zastrzeżenia do twoich umiejętności - dodała szybko Stacy, spostrzegłszy wyraz konsternacji na twarzy Any. - Przeciwnie, jest pełen uznania dla twojej pracy. Kiedy rano się z nim widziałam.

- Zaraz - przerwała jej Ana. - Dziś rano widziałas się z Wardem?

- Tak, wyszedł tuż przed twoim przyjściem.

- Rozumiem - szepnęła, choć nic nie rozumiała. Pierwsze spotkanie w FCM miała o dziewiątej. Czyli Ward musiał zjawić się po siódmej, aby odbyć zebranie i zniknąć, zanim ona przyszła. - Zawsze tak robi? Zwołuje zebrania bladym świtem?

- Ależ skąd. - Stacy ziewnęła. - Na ogół pojawia się w biurze koło dziewiątej.

- Pewnie ma dziesiątki spraw na dziś, skoro chciał tak wcześnie rozpocząć dzień.

Stacy potrząsnęła głową.

- Chyba nie. I to mnie dziwi. Ilekroć przyjeżdża do miasta, wręczam mu jego harmonogram. Dzisiejszy dzień ma zupełnie pusty. Zwykle, kiedy nie ma umówionych spotkań, przesiaduje w biurze po dwanaście godzin na dobę. A tym razem prawie się nie pokazuje. Jakby...

Nagle Stacy urwała, jakby doznała olśnienia. Wbiła wzrok w Anę.

- Co się stało?

- Nie, nic - odparła, czerwieniąc się. - Na co masz ochotę? - spytała, próbując nadać swojemu głosowi pogodne brzmienie. - Możemy pójść do nowej azjatyckiej re-

stauracji, która zbiera świetne recenzje. A jeśli wolisz swojską atmosferę, to parę przecznic dalej jest miejsce, gdzie robią znakomite hamburgery. Albo...

- Nie gniewaj się, ale nie mam dziś ochoty - powiedziała Ana i też ziewnęła. Wcale nie udawała zmęczonej. - Spędziłam tu kilka bardzo pracowitych dni. Marzę o tym, żeby się porządnie wyspać.

- Jesteś pewna?

- Tak. Poza tym rano chcę wpaść do fundacji. Powinnam zapytać o parę rzeczy przed wyjazdem na lotnisko.

Stacy wciąż się wahała, jakby dostała polecenie, że ma się Aną zaopiekować i bała się, że jeśli pozwoli jej wrócić bez kolacji do hotelu, to rozgniewa siły wyższe.

- Ty też jesteś na nogach od rana - dodała Ana. - Należy ci się odpoczynek. Nie martw się o mnie. Będę grzeczna, obiecuję.

- W porządku - odparła Stacy bez przekonania w głosie. - Niczego nie potrzebujesz? Trafisz do hotelu?

- Bez problemu.

Wynajęty samochód ma GPS-a. Tak, GPS się przyda, bo wcale nie zamierzała wracać do hotelu. Postanowiła odnaleźć Warda.

Czas najwyższy, aby odbyli szczerą rozmowę.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Parę minut później Ana opuściła parking fundacji. W lusterku wstecznym widziała samochód Stacy. Oczekała, aż Stacy zjedzie na autostradę, po czym skręciła na plac przed niedużym centrum handlowym. Zgasiła silnik, wyjęła z torebki telefon. Najpierw wystukała numer Warda i zostawiła wiadomość w poczcie głosowej. Ponieważ nie wierzyła, że oddzwoni, połączyła się z numerem Emmy.

- No dobra - powiedziała po wstępnych powitaniach. - Wyjaśnij mi, o co chodzi z Wardem.

Emma roześmiała się wesoło.

- Nie rozumiem, o co pytasz.

- Wiem, że jest jednym z najlepszych przyjaciół Chase'a, ale bywa niezwykle trudny we współpracy.

- Czym ci się naraził? Wprawdzie ma artystyczny temperament, ale Chase twierdzi, że to normalny i rozsądny człowiek.

- Czyli to ja - rzekła z zadumą Ana.

- Co ty? Mów jaśniej.

- Nie lubi mnie.

- Wydaje ci się.

- Nie. Stacy, szefowa FCM, mówiła, że kiedy Ward jest w mieście, to codziennie wpada do biura. Tym razem jednak nie wpadł. Rozumiem, że lecieliśmy oddzielnie, skoro wczoraj mieliście spotkanie zarządu, ale...

- Nie mieliśmy.

- Nie? Tak mi powiedział jego asystent Jess. Że Rafe zwołał na rano zebranie.

Emma milczała.

- Chcę z nim porozmawiać - oznajmiła Ana. - Unika mnie, jakbym była jakąś szaloną fanką. - Co nie było dalekie od prawdy. - Możesz wydobyć od Chase'a adres Warda?

- Postaram się - obiecała Emma.

Dziesięć minut później Ana wpisała nowy adres do GPS-a. Zgodnie ze wskazówkami dojechała do Harleston Village, dzielnicy pełnej starych kościołów i jedno- lub dwupiętrowych domów oddzielonych od siebie jedynie szerokością podjazdu. Dom Warda znajdował się pośrodku kwartału. Niczym się nie wyróżniał. Gdyby nie adres od Emmy, nigdy nie domyśliłaby się, że mieszka tu gwiazda rocka. Zaparkowała przy chodniku między dwoma podjazdami i, zdobywając się na odwagę, zastukała kołatką do drzwi. Czekwała z bijącym sercem.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Zastanawiała się, czy nie popełnia błędu. W końcu czy to ważne, że Ward jej nie lubi? Że jej unika? Po co się tym przejmuje? Pewnie zasada numer trzy w organizacjach non profit brzmi: „Jeśli milioner-darczyńca chce się zachowywać jak świrnięty odludek, ma do tego prawo”.

Zanim jednak zdecydowała się wrócić do auta, drzwi się otworzyły. Zamiast Warda zobaczyła chudą kobietę w średnim wieku. Na widok Any kobieta skrzywiła się i wskazała na tabliczkę przy drzwiach.

- Akwizytorom dziękujemy.
- Chciałam się widzieć z Wardem Millerem.
- Z kim?
- To jego dom, prawda?
- Akwizytorom dziękujemy - powtórzyła kobieta.

Ana wsunęła nogę za próg, uniemożliwiając kobiecie zamknięcie drzwi.

- Dostałam adres od Chase'a Larsona.

Ucisk na nogę nieco zelżał, ale wyraz podejrzliwości na twarzy kobiety pozostał.

- I co?

- Nazywam się Ana Rodriguez. Przyjechałam z San Diego. Ward jest członkiem zarządu fundacji Nadzieja Hannah, którą prowadzę. Muszę z nim porozmawiać. Proszę go spytać, może mnie przyjmie?

- Tu go nie ma - oznajmiła kobieta.
- Ale to jego dom?

Kobieta zmrużyła oczy, po czym skinęła głową.

- Nie wie pani, kiedy wróci?

- W ogóle nie wróci.

Zgryźliwy ton gospodyni działał Anie na nerwy. Nie zważając na przymknięte drzwi, pchnęła je ramieniem i przybrała groźną minę. Niech baba nie myśli, że się jej tak łatwo pozbędzie.

- Pani będzie uprzejma powiedzieć Wardowi, że tu jestem.

Kobieta zawahała się, po czym cofnęła. Drzwi otworzyły się na oścież. Ana skorzastała z okazji i weszła do holu. W głębi zobaczyła salon i jadalnię. Na wprost siebie miała schody, które prowadziły na piętro. Ciemne drewniane podłogi lśniły, na jasnych ścianach wisiała bogata kolekcja sztuki abstrakcyjnej. Ana patrzyła oszołomiona. Czy to jest autentyczny Kline? I oryginalny Pollock?

Bardziej jednak niż obrazy warte miliony dolarów zaskoczyło ją co innego. Na szafce przy drzwiach, obok metrowej wysokości pomarańczowego wazonu, leżały ogromne okulary przeciwsłoneczne firmy Burberry. Dokładnie takie, jakie nosiła Cara Miller. Wyglądało to niemal tak, jakby przed chwilą weszła do domu.

Ana przeniosła wzrok z okularów na gospodynię. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Nie powinna była przychodzić. Nie powinna była widzieć tych okularów. To, że leżały na wierzchu, wiele mówi o Wardzie. On nadal cierpi po stracie żony, a ona, Ana, w niewybaczalny sposób naruszyła jego prywatność.

Ale... Do jasnej cholery, po części sam jest sobie winien. Gdyby odebrał telefon, nie nachodziłaby go w domu. Gdyby miał na tyle przyzwoitości, by z nią porozmawiać, nie prosiłaby Emmy o jego adres.

Jeszcze raz powiodła wzrokiem dookoła, szukając jakiegoś znaku obecności Warda. Wnętrze sprawiało sterylne wrażenie, jakby nikt tu nie mieszkał od co najmniej roku. Nigdzie nie dostrzegła kluczy, korespondencji, otwartej książki świadczącej o tym, że ktoś ją czyta. Meble stały pod idealnie równym kątem.

Wzdychając, Ana ponownie spojrzała na gospodynię.

- Chyba faktycznie go nie ma.

Po twarzy kobiety przemknął cień smutku.

- Nie mieszka w domu, kiedy przyjeżdża do miasta.

Odruchowo zerknęła na okulary słoneczne. Nie musiała nic więcej mówić. Ana domyśliła się, że z tym miejscem wiąże się zbyt wiele bolesnych wspomnień.

- Jeśli będzie pani z nim rozmawiała, proszę powiedzieć, żeby do mnie zadzwonił.

Wsiadła do samochodu. Zaczęła się cofać, kiedy nagle spojrzała na podjazd, Na jego końcu znajdował się garaż z nadbudówką, która służyła za mieszkanie.

- Nie mieszka w domu - Ana powtórzyła szeptem. Nie, że tu nie mieszka, tylko że w domu nie mieszka. Hm.

Niewiele się zastanawiając, skręciła w podjazd i zatrzymała się przed garażem. Schodami na zewnątrz budynku weszła na piętro. Przeczucie jej nie zawiodło. Ze środka dobiegała muzyka. Rozpoznała utwór Keba Mo, artysty bluesowego, którego zaczęła słuchać, kiedy w jakimś wywiadzie przeczytała, że Ward go uwielbia.

Zapukała. Po minucie zapukała głośniejsze. Potem usłyszała dzwonek telefonu. Ward ściszył muzykę i otworzył drzwi. W ręce trzymał słuchawkę, ale ledwo to zauważyła, bo wpatrywała się w jego nagi tors. Nie był ani przesadnie umięśniony, ani zbyt chudy. Skórę miał lekko owłosioną, opaloną. Wyglądał... mmm, seksownie.

Znała wielu mężczyzn, którzy golili tors. W L.A. niemal wszyscy chcieli wyglądać jak Ken, przyjaciel Barbie. Byli dumni ze swoich gładkich chłopięcych klatek. Ward nie miał w sobie nic z chłopca. Nic a nic.

Po raz pierwszy w życiu Ana zrozumiała, co czują kobiety, które pragną dotknąć męskiego torsu. Na wszelki wypadek zwinęła dłonie w pięści.

Niestety - lub stety - Ward wciągnął przez głowę sweter. Pokusa znikła. Następnie przeczesał ręką włosy.

Dopiero w tym momencie spostrzegła, że są wilgotne. To tłumaczyło, dlaczego otwierając drzwi, był bez koszuli.

- Nie przejmuj się - powiedział do telefonu, po czym rozłączył się. - To była gospodyni. Dzwoniła uprzedzić o twojej wizycie.

Odsunął się na bok i wykonał ręką zapraszający gest. Weszła bez słowa i rozejrzała się. W przeciwieństwie do domu mieszkanie nad garażem było malutkie: składało się z niewielkiego salonu, małej kuchni i korytarza, który przypuszczalnie prowadził do sy-

pialni i łazienki. Na blacie w kuchni leżał pojemnik z jedzeniem na wynos, obok stała butelka tequili.

Meble były stare, nieco odrapane, z egzotycznego drewna, obite czerwono-czekoladową tkaniną. Wzdłuż ścian stały regały pełne książek i bibelotów. Nie były to piękne ozdoby, jakie wybrałby dekorator wnętrz, lecz pamiątki z licznych podróży. Repliki dawnej sztuki greckiej sąsiadowały ze śmiesznymi figurkami słynnych muzyków i kompozytorów.

Ward zamknął drzwi i schował telefon do kieszeni. Miał na sobie sprane dżinsy i szary miękki sweter, do którego aż chciało się przytulić.

- Możesz mi wyświadczyć przysługę? - Uśmiechnął się zawstydzony. - Gdyby Chase pytał, powiedz mu, że przeniosłem się z powrotem do domu.

Zupełnie się tego nie spodziewała.

- No... ja... Dobrze. A spyta?

- Nie wiem. Może. Kiedy rok temu odkrył, że się wyprowadziłem, zrobił mi piekło.

Co miała powiedzieć? Mogła się jedynie domyślać, co Ward musi czuć. Nie dziwiła się, że ciężko mu ponownie zamieszkać w domu, który dzielił z żoną.

- Zadzwoń do mnie - rzekła, a kiedy zmarszczył czoło, wyjaśniła: - Nie umiem kłamać. Jeśli zadzwonisz, powiem Chase'owi, że rozmawialiśmy przez telefon. Udam, że mnie tu nie było. Okej?

Roześmiał się. Jej niewinność, szczerłość i uroda stanowiły niezwykle pociągającą mieszankę. Miała na sobie czarno-biały żakiet w jodełkę, przewiązany w talii paskiem, oraz wielką skórzaną torbę przewieszoną przez ramię. Po chwili rozpięła żakiet. Oczom Warda ukazały się czarne spodnie typu cygaretki i biała koszula, nieco pomięta po całym dniu noszenia. Korciło go, by ją rozpiąć, zobaczyć, co jest pod spodem. Chciał również wyciągnąć klamrę z włosów Any, zanurzyć w nich ręce, twarz. Ciekaw był, czy dziś Ana też pachnie wanilią i cynamonem. Pragnął całować ją długo i namiętnie, aby poczuła do niego to samo, co on czuł do niej. Jednego tylko nie chciał: zrazić jej do siebie, a takim zachowaniem właśnie to by osiągnął. Nawet nie musiałby zdzierać z niej ubrania...

Przyglądała mu się podejrzliwie. Nic dziwnego, skoro wciąż nie zareagował na jej słowa. Zamiast jednak odpowiedzieć na pytanie, przeszedł na koniec kuchni i wyjął z szafki szklanę. Uniósłszy ją, spytał:

- Pijesz tequilę?

- Nie codziennie, ale większość życia spędziłam w południowej Kalifornii.

- Racja. - Nalał dwie porcje.

Ana pociągnęła malutki łycalek. Wiedziała, co jest dobre. Gran Patronem należy się delectować.

Ward skinął z uznaniem głową i również wypił łyk. Uwielbiał to pieczenie w gardle. Po chwili odstawił szklanę na blat. Z jednej strony chciał powiedzieć Anie wprost, że jej pragnie. Z drugiej wiedział, że w ten sposób niczego nie osiągnie. Zamiast więc się na nią rzucać, postanowił uwieść ją delikatnie: głosem, umiejętnością snucia opowieści.

- Kiedy jesteś muzykiem, wszyscy chcą ci kupić drinka. Od piętnastego roku życia pijam tequilę. Większość gatunków jest podła, stąd dodatek w postaci soli i limonity. - Uniósł szklanę do światła. Znajdujący się w niej płyn był przezroczysty jak źródłana woda, tylko zapach zdradzał, że jest to coś innego. - Ale Gran Patron to najbardziej luksusowa marka tequili na świecie. Należy ją właśnie saczyć, a nie wychylać duszkiem.

Ana ponownie wypła łyk. Ward nie odrywał od niej oczu. Było w niej coś niezwykle erotycznego, a zarazem jej bliskość działała na niego kojąco. Owszem, spierali się o sprawy zawodowe, ale traktowała go normalnie.

- Kobiety pod wieloma względami są jak tequila - dodał po chwili. - Towarzyszą muzykom, nie odstępują ich na krok. Czasem człowiek wypija haust i się otrząsa. Czasem sięga po szklanę, bo po prostu ktoś mu ją podsunął. - Urwał. - Kochałem żonę. Ani razu jej nie zdradziłem, nigdy mi to przez myśl nie przyszło. Po co pić tanią tequilę, kiedy w domu ma się najszlachetniejszy gatunek?

Spojrzenie mu pociemniało.

- Czy ta analogia cię oburza?

Zamyśliła się. Nie, nie była oburzona, choć rozumiała, że niektóre kobiety mogłyby się czuć urażone.

- Mój ojciec mawiał, że kobiety są jak Eskimosi. Słyszałeś, że Eskimosi mają czterdzieści różnych określeń na śnieg? Ojciec twierdził, że takie są kobiety. Że mamy setki określeń na emocje. Mężczyźni nie. Mężczyźni mówią o kobietach jak o swojej własności, bo nie potrafią inaczej wyrazić, jak bardzo nas potrzebują.

Dawno się nad tym nie zastanawiała. Przed laty rodzice bez przerwy błagali ją, by była ostrożna. Bali się, że spaprze sobie życie, biorąc narkotyki lub zachodząc w ciążę. Kazania matki doprowadzały ją do furii, ale słowa ojca zapamiętała. „Nie idź do łóżka z chłopakiem tylko dlatego, że mówi, że cię kocha. To puste słowa, które nic nie znaczą. Poczekaj na chłopca, który cię nie ponagla. Na chłopca, który nie opowiada, jak bardzo cię kocha, lecz który codziennie ci to udowadnia”.

Dotychczas takiego nie spotkała. W wieku dwudziestu siedmiu lat nadal była dziewicą. Niemal zaczęła już wątpić w istnienie prawdziwej miłości. Owszem, rodzice się kochali, ale należeli do wyjątków. Może jej pokolenie straciło umiejętność kochania? Ale słuchając, jak Ward porównuje Carę do szlachetnej tequili, którą należy sączyć ze smakiem, po raz pierwszy pomyślała, że może jednak autentyczna miłość wciąż się zdarza.

Mężczyzna, który stał koło niej, był narażony na tysiące pokus, miał setki okazji do zdrady. Ale za bardzo kochał żonę, aby z nich korzystać. Mimo że od śmierci Cary minęły trzy lata, nie potrafił wrócić do domu, w którym razem mieszkali. Nawet nie umiał wyrzucić jej okularów. Jakżeby takie oddanie, taka miłość, mogły ją urazić?

Może nie pojmowała rozmiarów jego cierpienia, ale je szanowała. Nie zamierzała go osądzać. Za słabo go znała, żeby mieć zdanie na temat tego, co powinien robić.

Wróciła do przysługi, o jaką ją prosił.

- Nie powiem nic Chase'owi.

- Dzięki.

Uśmiechnął się, ale był to smutny uśmiech. Jakby Ward wiedział, że należy się otrząsnąć, zacząć żyć, a zarazem jakby nie bardzo miał na to ochotę.

Zdusiła westchnienie. Powód, dla którego tu przyszła, nagle wydał jej się błahy.

- Przepraszam, że naruszam twoją prywatność. Nie powinnam była przychodzić. -

Odstawiła szklankę i skierowała się ku drzwiom.

Zatrzymał ją, zanim wyszła z kuchni.

- A przyszłaś, bo...?

Speszyla się. Miała wrażenie, że tego, co przed chwilą usłyszała, Ward nie opowiada wszem wobec. Więc zapewne myliła się, uważając, że darzy ją niechęcią. Zresztą nawet gdyby tak było, to co? Współpracowała z wieloma osobami, które za nią nie przepadały i za którymi ona nie skoczyłaby w ogień. Nic nie stało na przeszkodzie, aby dalej tak funkcjonowała. Była profesjonalistką.

Zreflektowawszy się, że Ward czeka na odpowiedź, uśmiechnęła się:

- Myślałam, że mnie nie lubisz.

- Słucham? - Znieruchomiał.

Jego niski ochryply głos przejął ją dreszczem.

- Wiem, że to głupie, ale wydawało mi się, że mnie unikasz.

- Ja? Ciebie? - spytał z rozbawieniem.

- Tak. Przyleciałeś innym samolotem, mimo że w fundacji nie było zebrania zarządu. Do FCM zajrzałeś tylko na moment, choć Stacy twierdzi, że kiedy jesteś w Charlestonie, przesiadujesz w biurze od rana do wieczora. Wcześniej... - urwała zirytowana. Nie rozumiała, dlaczego tak bardzo się tym przejmuję. Wzdychając, poruszyła ramionami, jakby próbowała pozbyć się napięcia. - W sumie to nic ważnego. Po prostu uznałam, że spytam...

- Zaraz, zaraz. Myślisz, że cię unikam? Bo cię nie lubię?

- No tak. I nie chciałabym, aby twój stosunek do mnie zaważył... - Zanim dokończyła zdanie, Ward podszedł do niej i chwycił ją w objęcia.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Czuł się tak, jakby trafił do nieba. Ana pachniała jak pyszne cynamonowo-waniliowe ciasteczko, a jej wargi miały smak jego ulubionej tequili. Nie wyobrażał sobie lepszej kombinacji. Już po chwili jej gorące usta rozchyliły się i zaczęły odwzajemniać pocałunek. Torba zsunęła się z ramienia i opadła na podłogę. Ręce powędrowały do góry, objęły go za szyję, palce zanurzyły się w jego włosach. Instynktownie przyciągnął ją mocniej do siebie.

Oparła się o niego brzuchem i wyczuła jego podniecenie. Sądził, że nad wszystkim zapanuje, że sytuacja nie wymknie się spod kontroli. Gdyby Ana wykazała minimalny opór, natychmiast by ją puścił. Ale ona się w niego wtopiła, więc przytulił ją mocniej, zsunął jej z ramion żakiet, po czym pchnął ją lekko, aż oparła się o ścianę. Wcisnął dłoń pomiędzy ich ciała i zaczął rozpinać jej bluzkę. Po chwili ujrzał koronkowy stanik w cielistym kolorze.

Kiedy zacisnął palce na jej piersi, usłyszał, jak Ana wciąga z sykiem powietrze. Odchyliła do tyłu głowę. Usta miała otwarte, wargi wilgotne, oczy przymknięte. Jeżeli tak silnie reagowała na niewinny w sumie dotyk, zastanawiał się, jak by zareagowała na pieszczoty, którymi miał ochotę ją obdarzyć. A jeszcze parę minut temu sądziła, że wzbudza w nim niechęć. Że próbuje jej unikać.

Toczył z sobą walkę. Jeden Ward chciał zedrzeć z Any spodnie i bieliznę, wsunąć rękę między jej uda, odnaleźć łechtaczkę i usłyszeć jak Ana jęczy z rozkoszy. Drugi Ward powstrzymywał pierwszego; wiedział, że to nie jest odpowiedni czas na takie rzeczy.

Ana... jest inna niż Cara. Jeśli Cara była znakomitą tequilą, drogą, szlachetną i elegancką, to Ana jest... hm, idealną margaritą. Słonawą, a zarazem słodką, z lekką nutą cierpkości. Koktajlem, którego składniki doskonale z sobą harmonizują, tworząc wyjątkową całość.

Wystraszył się, że myśli o obu kobietach naraz. Cara towarzyszyła mu przez całe życie, przez całą karierę. Długo nie mógł się pozbierać po jej śmierci. Bał się ponownie

zaryzykować. Ana zasługuje na coś więcej niż szybki seks na stojąco. Zasługuje na to, by znać prawdę.

Cofnął się, przeczesał włosy. Nawet nie przypuszczał, że tak szybko można stracić nad sobą panowanie.

- Właśnie dlatego cię unikałem - szepnął, zaciskając powieki. - A nie dlatego, że cię nie lubię.

Stała oparta o ścianę, w rozpiętej bluzce, w prześwitującym staniku. Miał wrażenie, jakby ożyła postać z jego snów. Przyglądała mu się oszołomiona, nie bardzo rozumiejąc, o czym on mówi.

- Tego się bałem - dodał. - Czułem, jak między nami iskrzy, a nie chciałem, żeby ucierpiała na tym praca.

- Aha. - Nagle Ana uświadomiła sobie, że piersi ma odsłonięte.

Drżącymi palcami zaczęła zapinać guziki. Co rusz się myliła. Jej niezwykle sprawny umysł pracował na zwolnionych obrotach.

Ward wrócił do kuchni, wylał tequilę do zlewu, a do szklanki nalał zimnej wody. Ponieważ Ana wyglądała na równie zmieszaną jak on, jej również nalał wody.

Wypiwszy łyk, potrząsnęła głową, jakby chciała uporządkować myśli.

- Czyli unikałeś mnie, bo mnie lubisz? - spytała, po czym uniosła rękę. - Przepraszam, cofam to.

- Ana...

- Nie, w porządku. - Uśmiechnęła się dzielnie. Ponownie zbliżyła szklankę do ust i tym razem opróżniła ją jednym haustem. - Po prostu pragniesz mnie, poniekąd wbrew swojej woli?

- Uhm. Ale seks wszystko komplikuje. Poza tym nie chcę cię skrzywdzić.

Odstawiła szklankę na granitowy blat.

- Zakładasz, że byłbyś w stanie?

- Tak - przyznał, myśląc o tym, jaka jest czarująco naiwna. - Nie znasz celebrytów.

- Nieprawda - zaprotestowała. - Znam. Z różnymi miałam do czynienia, kiedy pracowałam w Hollywood.

- A z iloma spałaś?

Krew napłynęła jej do twarzy.

- Nie twój interes!

A zatem w grę wchodzi dwie odpowiedzi: z wieloma lub z żadnym. Podejrzał, że to drugie.

- W celebrycie łatwo się zakochać, ale trudno z nim wytrzymać.

On sam nie był sympatycznym człowiekiem. Może dawniej tak, ale teraz na pewno nie. Zresztą to typowe: ludzie zakochują się w swojej fantazji, w wyobrażeniu o danej osobie, a nie w mężczyźnie lub kobiecie z krwi i kości. Widząc, że Ana nabiera powietrza, aby znów zaprotestować, przycisnął palec do jej ust.

- Nie chcę cię skrzywdzić. Nie chcę, żebyś się we mnie zakochała, a potem odkryła, że jestem inny, niż myślałaś. To byłoby nie fair wobec ciebie.

Zmarszczyła czoło.

- Byłoby nie fair wobec nas obojgu.

- Miły z ciebie dzieciak, Ano. Nie chcę cię skrzywdzić - powtórzył po raz trzeci.

Dzieciak? Zmrużyła oczy. Wiedział, że to określenie nie przypadnie jej do gustu; specjalnie go użył.

Omiatając go gniewnym wzrokiem, obróciła się i podniosła z podłogi żakiet.

- A zatem...?

- A zatem pracujemy dla dobra Nadziei Hannah. W początkowym okresie będziemy się często widywać, ale kiedy wszystko nabierze rozpędu, mniej więcej za rok, wycofam się, a wy znajdziecie kogoś na moje miejsce.

Spojrzenie jej pociemniało.

- Nie o to pytałam. Chodziło mi o nas dwoje. Uważasz, że jestem delikatnym dziewczęciem, które sobie z tobą nie poradzi. Ale mylisz się. Jestem silna.

Uśmiechnął się. Pewnie nie powinien ciągnąć wątku, ale nie mógł się powstrzymać.

- Czy to znaczy, że chcesz sobie ze mną „radzić”?

Otworzyła usta, po chwili jednak je zamknęła, jakby najpierw chciała się zastanowić nad odpowiedzią.

- Nie wiem - przyznała w końcu.

Wciąż miał ochotę zgarnąć ją w ramiona, ale teraz już panował nad pożądaniem. Z twarzy Any niewiele mógł wyczytać. Przycisnęła palce do skroni i na moment zamknęła oczy, jakby próbowała uciszyć wewnętrzny jazgot. Nie pomogło. Kiedy uniosła powieki, spojrzenie nadal miała zakłopotane.

- Nie chcę tego tak zostawić. Nie chcę udawać, że nic się nie dzieje.

- Wiem, wiem, nie codziennie celebryta porywa cię w ramiona - powiedział, siląc się na żartobliwy ton.

Wiedział, że niektórzy, i dotyczy to obu płci, lubią „zaliczać” sławy. Kiedyś go to denerwowało, potem przestał się nad tym zastanawiać. Chociaż nie wierzył, że Ana należy do tego grona, chciał usłyszeć to z jej ust.

- Nie o to chodzi - rzekła z irytacją. - Dobrze o tym wiesz.

Tak, wiedział. Any nie kręca sławy. Wcześniej pracowała w Hollywood, zna wiele gwiazd, i to większych niż on. Ciekawe, jakim cudem się uchowała? Na szczęście miała zmysłowo zaokrągloną figurę. Może w krainie chudych aktoreczek mężczyźni nie potrafili docenić fantastycznych kobiecych kształtów? Ale jego nie to najbardziej pociągało. Podobała mu się jej odwaga, temperament, pasja, z jaką mówiła o Nadziei Hannah. Nie był natomiast pewien, co widziała w nim.

- Więc o co? - spytał. Ana wzruszyła ramionami.

- Może po prostu zaryzykujemy? Zobaczymy, co z tego wyniknie?

Potrząsnął głową.

- Nie chcę złamać ci serca.

- To moje serce.

Położył ręce na jej policzkach.

- Posłuchaj. W nas, celebrytach, łatwo się zakochać. Ale trudno z nami żyć.

Uśmiechnęła się.

- Powtarzasz się. - Napotkała jego spojrzenie. - Nie zamierzam się w tobie zakochiwać.

- Nie?

- Ani trochę.

- Słowo honoru?

- Słowo. - Z figlarnym błyskiem w oczach uniosła palce, jakby składała przysięgę.

Nie powinien się zgodzić. Powinien wypchnąć ją za drzwi, wsadzić do samolotu lecącego do San Diego i więcej jej nie oglądać. Powinien... ale nie chciał. Pragnął ją zatrzymać i przytulić. Czuł się jak samolubny drań.

Dawno niczego i nikogo nie pragnął. Od lat. Jeżeli Ana nie ma tyle rozumu, aby odejść, on z całą pewnością nie ma tyle siły, aby ją do tego zmusić.

- Okej.

Uśmiechnęła się promiennie, jakby zdobyła cenną nagrodę, jakby z nich dwojga to ona była większą szczęściarą. Wiedział, że będzie rozczarowana, miał tylko nadzieję, że nie przyjdzie jej płacić zbyt wysokiej ceny.

Wspięła się na palce i chciała objąć go za szyję, lecz powstrzymał ją.

- Nie będziemy się spieszyć. Pragnę cię, chcę cię pieścić i całować, ale jeszcze z tym trochę poczekajmy.

Zaczerwieniła się. Albo zaskoczyła ją jego bezpośredniość, albo nie przyszło jej do głowy, że jeśli zaczną się teraz całować, Ward nie będzie w stanie przerwać. Po chwili, unikając jego wzroku, skinęła głową.

- Dobra. Czyli...

- Czyli najpierw idziemy na kolację. - Wziął ją za rękę i pociągnął w stronę drzwi.

- Lepiej w mieście niż w domu. W domu nie miałbym do siebie zaufania.

Pozwolił jej prowadzić. Wypił niewiele, ale na pusty żołądek, więc wołał nie ryzykować. Ana zaś ledwo zamoczyła usta. Ucieszyła się, kiedy zasugerował, aby to ona usiadła za kierownicą. Wielu mężczyzn upierałoby się przy prowadzeniu, ale Ward i pod tym względem był inny.

Pozwolił jej też wybrać auto: mogli jechać jej wypożyczonym samochodem lub którymś z jego wozów. Stojąc przed garażem, powiodła po nich wzrokiem: sportowa elektryczna tesla, hybrydowy lexus, taki jak ten, którym Ward jeździł w Kalifornii, oraz doskonale utrzymany hornet z połowy ubiegłego wieku. Podejrzewała, że taka okazja się więcej nie powtórzy. Byłaby głupia, decydując się na własną nudną limuzynę.

Nagle coś sobie uzmysłowiła. Całe życie unikała poważnych związków. Trzymała mężczyzn na dystans, podejmowała rozsądne decyzje. Innymi słowy, prowadziła nudną limuzynę. Teraz mogła zaszaleć i z mężczyzną, i z samochodem. Pokusa była wielka.

Oczywiście byłby to przelotny romans. Serce Warda należy do innej. Ważne jednak, że jej pragnie i że wzbudza w niej emocje, jakich dotąd nie znała.

Nie łudziła się, że ją pokocha. Akceptowała obecny stan rzeczy. Musi po prostu uważać, by się zbyt nie angażować. Oby tylko Ward nie zorientował się, że ma do czynienia z dziewicą. Wierzyła, że się uda. W szale namiętności nikt się nie zatrzymuje i nie pyta: hej, co jest?

Siadając za kierownicą horneta, poczuła niesamowity przypływ adrenaliny. Brała pod uwagę, że po przejeździe tym legendarnym autem każde inne wyda jej się nieciekawe. Trudno. Ma jedyną okazję w życiu. Trzeba z niej skorzystać.

Zjedli w lokalu wciśniętym między pub a klub, w którym ćwiczono wschodnie sztuki walki. Z zewnątrz lokal był niepozorny, ale do środka wpuszczano tylko starannie wybranych gości. Właściciel, hałaśliwy Grek, ucieszył się na widok Warda; natychmiast podszedł i poklepał go po plecach. Inni goście obejrzel się z zaciekawieniem, ale już po chwili każdy zajmował się sobą.

Zajęli miejsca przy stoliku za przepierzeniem. Ana podskoczyła nerwowo, kiedy Ward niechcący trącił ją nogą. Zamówili hamburgery z baraniny na ostro, do tego tzatziki, frytki i panierowaną cukinię. Jedząc, rozmawiali głównie o pracy Warda w FCM oraz o Nadziei Hannah.

Ana rzadko chodziła na randki. Dość wcześnie przekonała się, że nawet niewinne spotkanie często kończy się kontaktem fizycznym, a tych starała się unikać. Nie była więc przyzwyczajona do siedzenia w restauracji naprzeciwko przystojnego mężczyzny, który w tym samym czasie co ona sięgał po frytki i przykładał jej do brody serwetkę, by zetrzeć z niej sos.

Dopiero gdy wrócili do samochodu, zdobyła się na odwagę, by poruszyć sprawę, która nie dawała jej spokoju.

- Powiedz... - Zaciśnęła ręce na kierownicy. - Cara zmarła na raka piersi, prawda?

Zerknęła w bok. W blasku mijanej latarni zobaczyła, że Ward zeszywniał. Niczego nie była w stanie wyczytać z jego twarzy. Czekwała na odpowiedź, ale milczał, więc po chwili kontynuowała:

- Żadna z fundacji, z którymi FCM współpracuje, nie zajmuje się rakiem. Nie pomaga rodzinom ofiar, nie finansuje szkoleń ani badań...

- Cara sobie tego nie życzyła - burknął.

Wystraszyła się; najwyraźniej wtargnęła na teren, na który obcy nie mają wstępu.

- Przepraszam...

- Nic się nie stało. - Westchnął. - Po prostu nie przywykłem do rozmów na ten temat. - Potarł ręką twarz. - O Carze mówię non stop, ale nie o jej chorobie. Nie chciała, żeby rak przesłonił wszystko inne w jej życiu, żeby po jej śmierci wysunął się na pierwsze miejsce. Uważała, że żadne podium mu się nie należy. Wołała, żeby fundacja jej imienia pomagała dzieciom.

Ana zamyśliła się. Brzmiało to rozsądnie. Znała w Hollywood wizażystkę, która wygrała walkę z nowotworem i w wolnym czasie pracowała jako wolontariuszka w Amerykańskim Towarzystwie do spraw Walki z Rakiem. Przyjaciół poznała w grupach terapeutycznych. To byli wspaniali ludzie, ale rak ich nie opuszczał. Towarzyszył im stale i wszędzie. Więc tak, z jednej strony rozumiała, dlaczego Cara nie chciała poświęcać mu więcej czasu i uwagi niż konieczne. Z drugiej strony miała wrażenie, że Ward nie do końca to akceptuje.

- Ale...

Zerknął na nią z ukosa.

- Co ale?

Wzruszyła ramionami.

- Decyzja należała do niej, ale jak ty się z tym czujesz?

Za późno ugryzła się w język. Pytanie było zbyt osobiste.

- Tak jak powiedziałaś, to była jej decyzja. Poza tym - dodał po chwili - lubię pracę z dziećmi. Ich radość i uśmiech wynagradzają każdy trud.

Zatrzymawszy się na światłach, popatrzyła na niego zdziwiona. Kąciki warg mu drżały, ręce spoczywały na kolanach, palce wygrywały jakąś melodię. Zanim ruszyli

sprzed domu, Ana przesunęła siedzenie, by dosięgnąć pedałów horneta. To spowodowało, że długie nogi Warda ledwo się mieściły w aucie.

- Często pracujesz z dziećmi? - zmieniła temat.

- Nie. Za dużo podróżuję. Wtedy czułyby się porzucone. Ale kontakt z niektórymi ma sens. Choćby z Rickym.

Powiedział to takim tonem, jakby znała Ricky'ego.

- Kto to?

- Taki śniady trzynastolatek. Zamiast iść do szkoły, przyszedł do fundacji. O, tu skręć w lewo... Chciał wiedzieć, czy możemy pomóc jego mamie ukończyć szkołę średnią. Boi się, że bez dyplomu matka może mieć problemy ze znalezieniem pracy.

- Mądry dzieciak - pochwaliła Ana, zmieniając bieg. - Zauważyłam, że chłopcy wychowywani przez samotne matki często są wobec nich opiekuńczy.

- Tak było ze mną.

Korciło ją, by dowiedzieć się czegoś więcej, ale uznała, że dziś zadała już zbyt wiele osobistych pytań.

- I co z tym chłopcem? Z Rickym?

- Rozmawialiśmy tylko raz. Powiedziałem mu, że pomogę jego matce, ale musi obiecać mi, że nie będzie opuszczał lekcji. Umówiliśmy się na czwartek po południu. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

Ana poczuła ucisk w piersi. Zastanawiała się, ilu mężczyzn z własnej nieprzymuszonej woli gotowych byłoby spędzić popołudnie z zagubionym nastolatkiem. Niewielu. A ilu bogatych celebrytów? Pewnie ani jeden. Przynajmniej żaden z tych, których znała.

- To ładnie z twojej strony - powiedziała wzruszona. Mruknął coś pod nosem, jakby zawstydzony.

- Myślę, że Ricky zgodził się na kolejne spotkanie tylko dlatego, że miałem przy sobie gitarę Dave'a.

Przyjrzała mu się w ciemności.

- Miałeś gitarę? Dlaczego?

- Spokojnie. Nie zamierzam nagrać w tajemnicy płyty i wykorzystać pracy w Hannah, żeby ją wypromować, jeśli o to się martwisz.

Zaczerwieniła się. Najwyraźniej zapamiętał, co kiedyś powiedziała. Psiakość. W dodatku chyba widział ją w ciemności znacznie lepiej niż ona jego.

- Ward, ja...

- Żartowałem - rzekł łagodnie.

- A, to w porządku.

Przy skrzyżowaniu ponownie wskazał ręką skręt w lewo. Ana posłusznie wykonała manewr.

- Dlaczego nie na alvarezie? - spytała.

- Co?

- Skoro znów grasz, to dlaczego nie na alvarezie?

- Nie nazwałbym tego graniem...

- Nie brakuje ci muzyki? - Wjechała na podjazd przed domem.

Z przegródki na mapy Ward wyjął pilota otwierającego drzwi garażu.

- Moja babcia nauczyła mnie szyć. Potrafiła wszystko wyczarować; wystarczyło, że spojrzała na daną rzecz. Denise, mama Emmy, wydawała majątek na stroje. Po jej śmierci Emma nie potrafiła wyrzucić tych ubrań. Babcia je przerobiła i Emma nosiła je jeszcze latami. Później zaczęła przynosić babci zdjęcia sukienek. I babcia szyła jej identyczne.

Ana wjechała do garażu, zgasiła silnik, po czym obróciła się przodem do Warda.

- Nauczyła mnie szyć, kiedy miałam dziesięć lat. Lubiliśmy tak razem spędzać czas. Nadal szyję sobie ubrania. Myśląc o Hollywood, to jedyna rzecz, za jaką tęsknię.

Ward uniósł brwi.

- Tego ci brakuje? Nie blichtru, tylko szycia? Roześmiała się cicho.

- Wiesz, że nigdy nie miałam na sobie żadnej z sukien wykonanych na potrzeby filmu? - Oddała Wardowi kluczyki do horneta. - Dlatego spytałam o alvareza. Przez wiele lat ta gitara była istotną częścią twojego życia.

Położył kluczyki na tablicy rozdzielczej, po czym ujął dłoń Any.

- Nie chce mi się o niej gadać. - Rękę miał ciepłą, opuszki palców szorstkie.

Ana przełknęła ślinę, po czym przeniosła spojrzenie z ich splecionych rąk na jego twarz.

- A o czym...?

- O niczym - odparł z uśmiechem i przyciągnął ją do siebie.

Nie stawiała oporu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Chciał ją lekko pocałować, a potem odprowadzić do samochodu. Ale kiedy dotknął jej ust, poczuł, jak przeskakuje między nimi iskra. Ana odwzajemniła pocałunek z taką samą pasją, z jaką robiła wszystko. Na jej wargach i języku czuł smak herbaty i karmelowych lodów. Objęła go za szyję. Ruchy miała trochę niezdarne, ale to go podniecało bardziej, niż gdyby była wprawna kochanka. Czuł pulsowanie krwi w skroniach. Opuścił siedzenie, wyciągnął przed siebie nogi i obejmując Anę w pasie, posadził ją na sobie. Mruczając z zadowoleniem, zaczęła ocierać się o jego przyrodzenie. Drżała, oddech miała wyraźnie przyśpieszony.

Widząc jej podniecenie, Ward bliski był orgazmu. Na szczęście zdołał nad sobą zapanować. Patrzył, jak Ana ściąga żakiet, a potem rozpina bluzkę. W ostatniej chwili powstrzymał ją. Delikatnie zsunął ją z kolan, otworzył drzwi i wysiadł.

- Ward, co...

Pochylił się, lecz ona uciekła na drugi koniec siedzenia. Miała ładnie potargane włosy, przyciskała żakiet do piersi. Oczy miała szeroko otwarte, usta nabrzmiałe.

- Wsiądź - poprosił Ward łagodnie.

Posłuchała go, a on wyciągnął rękę, nie pozwalając się jej do siebie zbliżyć.

- Nie rozumiem.

Na twarzy Any pojawił się wyraz bólu. Ward westchnął. Korciło go, aby ją przytulić, wiedział jednak, że jeśli to zrobi, na tym nie poprzestanie i wylądują u niego w łóżku. Ba, może nawet tam nie dotrą. Może pchnie Anę na maskę hornera, ściągnie jej spodnie i weźmie ją od tyłu.

Kuszące to były fantazje, lecz nie chciał, aby ich pierwszy raz odbył się w ten sposób. Chciał się Aną delektować, poświęcić jej wiele czasu, czułości i uwagi.

- Ja... - zaczął i urwał. - Po prostu nie spieszmy się.

Skinęła głową i ponownie postąpiła krok w jego stronę. A on ponownie wyciągnął rękę, by ją zatrzymać.

- Chodzi mi o nasz związek - wyjaśnił. - Nie spieszmy się z seksem.

- Dobrze - szepnęła.

Wydawała się niepokieszona.

Trudno, pomyślał Ward. Coś mu mówiło, że Ana udaje bardziej doświadczoną, niż jest. Nie chciał stawiać jej w sytuacji, z którą nie umiałaby sobie poradzić, której by później żałowała. A na pewno by żałowała, co do tego nie miał wątpliwości.

Kobiety, które wiążą się z gwiazdami, zwykle żałują swojej decyzji. Owszem, niektóre lubią przygody z obcymi facetami, Ana jednak się do nich nie zalicza. Poza tym ich dwoje łączy praca, a to stanowi dodatkową komplikację.

I dlatego wolał się nie spieszyć. Chciał, żeby Ana lepiej go poznała, by wiedziała, na co się pisze. Wtedy rozczarowanie nie będzie tak bolesne.

Chybaby nie przeżył, gdyby kolejna kobieta żałowała tego, że się z nim zadała.

W Charlestonie spędzili razem półtora dnia. Ana widziała, czego Ward dokonał w FCM i z jakim szacunkiem wszyscy się do niego odnoszą. Po powrocie do Vista del Mar nie była pewna, czy dokonała słusznego wyboru, decydując się na związek z Wardem. Ale była. pewna, że innego wyboru nie mogła dokonać.

Miała odwrócić się? Zrezygnować? Nie.

Zdawała sobie jednak sprawę, w jak delikatnej znajdują się sytuacji. Dlatego od razu w samolocie poprosiła Warda, by nikomu w Vista del Mar nie mówił, że coś ich łączy. Obiecał, że nie piśnie słówka. Chociaż nie chciała opowiadać ludziom o ich związku, nie była w stanie ukryć podniecenia. Kiedy nazajutrz po powrocie zjawiała się w fundacji, tryskała humorem.

- Jak tam podróż z panem Wspaniałym? - spytała Christi, przystając w drzwiach.

Ana opuściła głowę, próbując uciec przed dociekliwym spojrzeniem przyjaciółki.

- Było świetnie. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to urokliwe miasto.

- Widzisz? A tak się wzbraniałaś.

Owszem, ale wtedy sądziła, że Ward to palant. Teraz miała problem: jak wytłumaczyć swój zachwyty pobyt w Charlestonie, a jednocześnie nie zdradzić się. Utkwiła wzrok w klawiaturze.

- Wiem, wiem, ale mają tam doskonale restauracje, piękne stare domy, a ludzie są niesamowicie serdeczni.

- Jeśli mnie pamięć nie myli, uważałaś, że wyjazd będzie stratą czasu. Najwyraźniej nie był?

Ana odetchnęła z ulgą. Zaczęła opowiadać o FCM; mogła na ten temat mówić godzinami. Starła się jedynie nie wymieniać imienia Warda. Bała się, że wtedy zrobiłaby się czerwona i zgubiła wątek.

Po paru minutach Christi, zmęczona słuchaniem, skierowała się ku drzwiom.

- Przepraszam, muszę wyjść i kupić sobie kawę. Przynieść ci coś?

- Nie, dziękuję - odparła Ana zadowolona, że przyjaciółka niczego się nie domyśliła.

W drzwiach Christi obejrzała się przez ramię.

- Chyba lepiej się dogadujesz z Wardem...

- Na szczęście nie jest taki okropny, jak myślałam - przyznała Ana.

- To dobrze. Bo sądziłam, że wpadniesz w furję, kiedy usłyszysz o tej hucznej imprezie.

- O jakiej imprezie? - zdziwiła się Ana, lecz w pokoju nikogo już nie było.

Wahała się, czy nie zawołać Christi z powrotem, ale zrezygnowała. Miała jednak złe przeczucia. Skoro Christi sądzi, że ona, Ana, wpadnie w furję... Hm.

Wyjęła z torebki komórkę i zadzwoniła do Warda. Nie odebrał, więc zostawiła mu wiadomość. Przez chwilę siedziała, bębniąc palcami w blat biurka. W końcu znalazła numer Jessa i zadzwoniła do niego.

- Super! - ucieszył się. - Próbowałem się z tobą skontaktować.

Chyba niezbyt intensywnie, bo od pół godziny ani jej komórka, ani telefon stacjonarny nie dzwoniły. Postanowiła jednak tego nie komentować.

- W jakiejś konkretnej sprawie? - spytała.

- Tak. Wolisz, żeby limuzyna przyjechała po ciebie do domu czy do fundacji?

- Limuzyna?

- Tak. Ward uznał, że będziesz wołała do fundacji. Zastanawiał się też, czy masz odpowiedni strój.

- Odpowiedni strój? - Starła się pohamować złość.

Ward sam mógł zadzwonić i zaprosić ją na huczną, jak to określiła Christi, imprezę. Czy musi ją o wszystkim informować jego asystent?

- Na drugi bal charytatywny organizowany przez studio Hudson Pictures, z którego dochód przeznaczony jest na Walkę z rakiem piersi. Aha, Ward prześle ci suknię.

Anę zamurowało. Hudsonowie byli właścicielami jednego z najbardziej renomowanych studiów filmowych. Należeli do śmietanki Hollywood. Od dziesiątek lat organizowali w lutym słynny Bal Walentynkowy. Kilka lat temu na raka piersi zmarła głowa rodu, Lilian Hudson. Po jej śmierci zamiast Balu Walentynkowego Hudsonowie zaczęli organizować bal, podczas którego zbierano pieniądze na badania nad rakiem. O zaproszeniu można było jedynie pomarzyć.

- Zaraz... Dlaczego Ward ma mi przysyłać suknię na bal u Hudsonów?

Jess zorientował się, że Ana o niczym nie wie.

- Nie rozmawiałaś z Wardem?

- Nie.

- Cholera. Sam chciał ci o wszystkim powiedzieć. Kiedy zadzwoniłaś, uznałem, że...

- Stop! - przerwała mu. - Gdzie on teraz jest? Chcę z nim porozmawiać.

- To niemożliwe.

- Mówisz mi o sukni, której powinnam oczekiwać, a nie możesz powiedzieć, gdzie jest Ward?

- Mogę, tyle że nie zdołasz zamienić z nim słowa - wyjaśnił pośpiesznie Jess.

Ana westchnęła.

- Dlaczego?

- Bo jest w studiu nagraniowym. Słuchaj, zdaję sobie sprawę, że czujesz się trochę niezręcznie.

- A żebyś wiedział!

- Ale Ward zaplanował dla was romantyczny wieczór.

W tym momencie wstąpiła w Anę furia. Ich sekretny związek przestał być sekret-ny. Nie taka była umowa. Romantyczny wieczór, eleganckie przyjęcie, limuzyna? A miał być zwykły seks.

Wieczorem o dziewiątej, pijąc drugi kieliszek wina, skakała po kanałach telewizyj-nych, kiedy nagle na VH1 dojrzała informację, że zaraz zacznie się film dokumentalny o Wardzie Millerze. Przez chwilę wahała się. W końcu uznała, że to byłoby zbyt surreali-tyczne: oglądać na ekranie mężczyznę, z którym niecałe dwadzieścia cztery godziny temu całowała się namiętnie.

Przeszła na inny kanał, gdzie wyświetlano lekką komedię. Usiadła wygodnie, wy-piła łyk wina i dwie minuty później wróciła na VH1. Próbowwała być bezstronna, jednak pół godziny później się poddała. Przesunęła się na skraj kanapy, oparła łokcie na kola-nach i z zapartym tchem śledziła losy Warda. Pokazano już jego drogę do sławy, teraz analizowano jego charakterystyczny muzyczny styl: to, jak dźwięki gitary w połączeniu z chrapliwym głosem tworzą całkiem nowe brzmienie.

Ale to już od dawna wiedziała. Jako wierna fanka знаła najdrobniejsze fakty doty-czące kariery muzycznej Warda. Teraz patrzyła z zafascynowaniem na jego występy na scenie. Oczywiście, na scenie też go wcześniej widziała. Kiedy chodziła do szkoły w Nowym Jorku, była na kilku jego koncertach, lecz wtedy to było co innego.

Zwykle występował cały czteroosobowy zespół z perkusistą, basistą i klawiszow-cem. Ale niektóre utwory Ward grał sam na przyciemnionej scenie. To było niesamowite przeżycie. Ana jak zwykle była pod wrażeniem jego ogromnego talentu, wysiłku, jaki włożył w perfekcyjne opanowanie instrumentu oraz skupienia i radości malującej się na jego twarzy.

Ward jest geniuszem. Wirtuozem. I nagle przestał grać. Dlaczego? Dlaczego czło-wiek, który...

Przenikliwy dźwięk dzwonka wyrwał ją z zadumy. Podskoczyła zawstydzona, jak-by przyłapano ją na czym niedozwolonym. Pilot poszybował w powietrze. Złapała go w locie i wcisnąwszy pauzę, ruszyła do drzwi.

Zapaliła światło na werandzie, odsunęła zasuwę. Spodziewała się sąsiadki, której często zatrząskiwały się drzwi. Ale to nie była Marla. Przez moment Ana milczała, nie była pewna, czy wzrok jej nie myli.

- Ward? - spytała wreszcie.

W niczym nie przypominał gwiazdy. Miał na sobie poplamione dziurawe dzinsy, powycierane kowbojskie buty i stary kowbojski kapelusz nisko nasadzony na czoło. W dodatku sprawiał wrażenie przygnębionego, jakby szczęście się od niego odwróciło i był o krok od załamania.

Ana przetarła oczy. Pierwszego dnia Ward w drogich bojówkach i okularach za pięćset dolarów wyglądał jak sławny człowiek usiłujący się nie wyróżniać. A dziś...

- Ward? - powtórzyła zaskoczona.

Bez słowa wskazał głową na sąsiedni dom. Ana zerknęła dyskretnie w bok i ujrzała zbliżającą się do drzwi Marłę, która spoglądała na nich z zaciekawieniem.

- Powtórz za mną - polecił. - Głośno.

- Co?

- Nie przyjmuję klientów w domu - powiedział cicho.

Wybałuszyła oczy. Po chwili znów zerknęła w bok. Marla stała u siebie na werandzie i bezwstydnie obserwowała, co się dzieje u Any. Niewiele się zastanawiając, Ana niepewnym tonem powtórzyła słowa Warda. Ten skinął głową i podał jej kolejną kwestię.

- Ale w tej sytuacji - rzekła donośnie - zrobię wyjątek. Proszę wejść. Postaram się panu pomóc.

Uśmiechnął się, ubawiony jej kiepskim aktorstwem.

- Gracias, señorita.

Powściągając irytację, Ana cofnęła się i wykonała zapraszający gest ręką. Kiedy drzwi się zamknęły, Ward wyprostował ramiona; nastrój przygnębienia znikł z jego twarzy. Podsunął kciukiem kapelusz i uśmiechnął się szeroko, jakby od dawna nie czuł się tak świetnie.

- Co tu robisz? - spytała.

- To ty nalegałaś, aby zachować nasz związek w tajemnicy.

- Nie rozumiem. Z jednej strony chcesz mnie zabrać na huczną imprezę charytatywną, gdzie będzie mnóstwo fotoreporterów, a z drugiej przebierasz się za włóczęgę, żeby wpaść do mnie niezauważony?

Wzruszył ramionami i przyciągnął ją do siebie.

- Pracujemy razem, więc nikt się nie zdziwi, widząc nas u Hudsonów. Ale jak miałbym wytłumaczyć wizytę u ciebie w domu po dziewiątej wieczorem?

Przywarł wargami do jej ust, rękę wsunął pod jej sweter. Opór Any zmalał, złość uleciała. Lekko na nią napierając, Ward popychał ją w stronę kanapy. Nagle podniósł głowę.

- Co to?

Zaskoczona popatrzyła tani, gdzie on. Ekran telewizora wypełniało zbliżenie jego twarzy. Psiakość!

- To...

- O kurczę, to ja - odezwał się i wypuścił ją z ramion.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Sprawiał wrażenie rozbawionego. Ana podeszła do telewizora i zgasiła pilotem odbiornik, po czym skinęła głową.

- Tak, to ty. Czego się napijesz? - spytała, chcąc ukryć speszenie.

Usiadł na kanapie i wyciągnawszy przed siebie nogi, skrzyżował je w kostkach.

- Tego samego co ty.

- Jestem mało wybredna - rzekła i ugryzła się w język.

Nie była pewna, czy ma na myśli wino za dziesięć dolarów, swoją starą sfatygowaną kanapę, puste regały czy jadalnię pełną kartonów, których nie zdążyła rozpakować.

- I bardzo dobrze.

W kuchni wmówiła w siebie, że nie obchodzi jej, co Ward sądzi na temat jej domu. Co z tego, że jej salon jest mniejszy i skromniej urządzone niż toaleta w jego rezydencji? Facet, który mieszka nad garażem, nie powinien niczego krytykować. I co z tego, że po pracy przebrała się w luźną górę i szerokie spodnie od dresu, w których jej biodra wyglądały na większe niż w rzeczywistości?

Nie zamierzała się niczym przejmować. Owszem, lubiła tanie wina, ale nie to było ważne. I nie jej biodra. Ważne było to, że nie jest i nigdy nie będzie Carą Miller.

Z kieliszkiem wina w ręce wróciła do salonu. Na widok wyciągniętego na kanapie Warda serce zabiło jej mocniej. Siedział z zamkniętymi oczami, z dłońmi spoczywającymi na brzuchu. Przyjrzała mu się uważnie. W takim stroju faktycznie nikt nie miał szansy go rozpoznać. Nawet włosy wystające spod kapelusza wydawały się ciemniejsze.

- Nie szata zdoła człowieka - zauważył, otwierając oczy.

Spuściła wzrok. Gapiąc się bezwstydnie, zachowała się jak nastoletnia fanka. Zanim zdołała się jakoś usprawiedliwić, zadzwonił jej telefon.

- Nie jesteś zakładniczką? Ten gość nie przetrzymuje cię wbrew twojej woli?

Ana wybuchnęła śmiechem.

- Cześć, Marlo. Nie, nie jestem zakładniczką - odrzekła, po czym, poruszając bezgłośnie wargami, wyjaśniła zdziwionemu Wardowi, że dzwoni jej sąsiadka.

- Na pewno?

Ana odstawiała kieliszek na stół, podeszła do okna, odciągnęła zasłonę i pomachała do Marli, która stała u siebie w salonie, oświetlona blaskiem lampy.

- Zadzwoń z drugiego aparatu na policję? Jeśli nie możesz swobodnie rozmawiać, powiedz: „arbuz”. Nie, poczekaj! Domyśli się. Powiedz: „Zobaczymy się w szkółce niedzielnej”.

- Marla, jesteś kochana, ale masz nie po kolei w głowie. Za dużo czytasz kryminałów. Nie jestem zakładniczką, przysięgam.

- Słowo honoru? Bo on wyglądał podejrzanie.

- To klient.

- Nigdy nie widziałam u ciebie żadnych klientów.

- To prawda, ale...

Zastanawiała się nerwowo, co powiedzieć, kiedy Ward zaczął dawać znaki, by zwrócić na siebie uwagę.

- Mój syn trafił do szpitala - szepnął.

- Jego syn trafił do szpitala - powtórzyła Ana, po czym dodała: - Facet słabo mówi po angielsku... Oj, to wszystko jest skomplikowane.

- Na pewno nic ci nie grozi?

- Tak, na pewno. - Obejrzała się. Ward uważnie ją obserwował. - Dzięki za troskę, Marlo. Wiesz co? Skoro się tak denerwujesz, zadzwonię do ciebie jutro.

- Z samego rana?

- O siódmej.

- Wolałabym o dziewiątej. Chyba że czegoś byś potrzebowała. Albo nie, może być o siódmej.

- Dobranoc, Marlo. - Ana rozłączyła się. Ward pokręcił ze śmiechem głową.

- Twoja znajoma sprawia wrażenie ... czujnej.

- To porządna dziewczyna. - Ana stanęła w obronie Marli, która może miała nie po kolei w głowie, ale była sympatyczną sąsiadką i jej pierwszą nową znajomą w Vista del Mar. - A czujność nie jest wadą.

- Nie twierdzę, że jest. Przeciwnie, uważam, że to miło, gdy sąsiedzi troszczą się o siebie.

Właśnie to się Anie podobało w Vista del Mar. Otworzyła usta, ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Ward wskazał na telewizor.

- Dowiedziałaś się czegoś nowego?

- Nie bardzo. Nawet nie wspomnieli o Orange Kitty.

- Skąd wiesz o Orange Kitty? - zdumiał się.

- Studiowałam w Nowym Jorku. Byłam na paru występach zespołu.

To było w szczytowym okresie jego kariery, przed chorobą Cary. Większość roku był w trasie, a pozostały czas dzielił między Charleston i Manhattan. Jeśli inni członkowie zespołu akurat przebywali w Nowym Jorku, wtedy pod nazwą Orange Kitty grali w klubach.

- Musiałaś być uparta, żeby trafić na nasz koncert.

Nigdzie nie zapowiadali swoich występów, podejmowali decyzję pod wpływem impulsu. Informacja rozchodziła się pocztą pantoflową.

- Pamiętam, jak któregoś wieczoru łąziłam od klubu do klubu, bo znajoma słyszała, że macie grać gdzieś na Manhattanie.

- I co? - W jego głosie pobrzmiwała tęsknota.

- Informacja okazała się nieprawdziwa. - Umilkła. Miała wrażenie, że zdradziła mu więcej, niż chciała. - Pewnie połowa nowojorczyków ma w zanadrzu takie opowieści.

Chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. Wpatrywała się w guzik jego pomiętej koszuli z uwagą, na jak żaden guzik nie zasługiwał. Ward delikatnie obrócił jej twarz, tak aby napotkała jego spojrzenie.

- Dotąd udawałaś, że nie interesuje cię moja muzyka. Dlaczego?

- To chyba oczywiste.

- Dla mnie nie.

Wzruszyła ramionami.

- Nie chciałam, żebyś myślał, że jestem fanką.

- Dla twórcy to miłe wiedzieć, że jest ceniony.

Ana nie wytrzymała. Zadała pytanie, którego może nie powinna zadawać.

- Dlaczego przestałeś komponować? - Mimo chłodu w jego oczach, ciągnęła: - Widziałam alvareza, za szybą w FCM. Tylko na tej gitarze tworzyłeś muzykę. Może czasem brzdąkasz na gitarze Dave'a, ale nie wyobrażam sobie, abyś na niej komponował.

Przeczesał ręką włosy. Przez moment Ana była pewna, że Ward albo wykręci się od odpowiedzi, albo burknie, żeby pilnowała swojego nosa. Zamiast tego zapytał:

- Przedstawisz mi swoją hipotezę?

Popatrzyła z namysłem na ciemny ekran telewizora. Nie była pewna, czego Ward oczekuje. Myślała, że ich związek ma być przygodą erotyczną. Nie sądziła, że Ward będzie składał wieczorne wizyty, zapraszał ją na romantyczne randki lub chciał wysłuchiwać jej hipotez.

Ale skoro spytał.

- To proste. Nie grasz z tego samego powodu, dla którego nie mieszkasz w swoim domu. Masz poczucie, że talent cię zawiódł. Odkąd byłeś nastolatkiem, dzięki muzyce spełniałeś marzenia. Zdobyłeś sławę, pieniądze, sukces. Wyrwałeś się z biedy. Podbiłeś serce Cary. Lecz ani talent, ani pieniądze nie pomogły ci uratować żony. Nie było leku, który mógłby ją wyleczyć. Talent cię zawiódł, kiedy był ci najbardziej potrzebny.

- Bzdury! - Ward oburzył się, lecz na jego twarzy Ana widziała szok i niedowierzanie.

- Czyżby? Stacy mówiła mi, że od śmierci Cary ani razu nie wziąłeś alvareza do ręki. Przedtem nigdzie się bez gitary nie ruszałeś. Nawet nie zostawiałeś jej na noc w studiu. A teraz przeszkadza ci sam jej widok.

- To tylko instrument, kawałek drewna, struny, a ty mówisz o niej jak o żywej istocie.

- To więcej niż instrument, Ward. To symbol twojego talentu. To twoje serce i dusza. Ale ponieważ talent cię zawiódł, postanowiłeś, że na złość babci odmrozić sobie uszy.

- Bez sensu - stwierdził cicho.

- Nie chodzi o sens, tylko o emocje. Masz duszę poety. I lepiej niż ktokolwiek wiesz, że serce nie kieruje się logiką.

W oczach Any dostrzegł zrozumienie. Cholera, jest przenikliwa i spostrzegawcza. Przeraził się, że z taką łatwością go rozszyfrowała. Czy Ana ma jednak rację? Czy dlatego od śmierci Cary nie tknął alvareza?

Nie wiedział. Ale faktem było, że wraz ze śmiercią żony odeszła mu też ochota do grania. Żadne nowe melodie ani słowa nie dźwięczały mu w głowie, dopóki nie przyjechał do Kalifornii. Tu, gdy biegał rano po plaży lub tkwił w korku, zaczynał nieśmiało coś nucić. Nie dopuszczał do siebie myśli, że ma to związek z Aną.

Postanowił zmienić temat.

- Słuchaj, jeśli chodzi o to przyjęcie... Przepraszam, że sam ci o nim nie powiedziałem. Jack Hudson usłyszał, że jestem w mieście i zadzwonił. Pomyślałem, że się ucieszysz.

Skrzyżowała ręce na piersi.

- Z przyjęcia u Hudsonów? Ward, nie bardzo rozumiem...

Wyczuł, że Ana zamierza wrócić do sprawy muzyki. Na wszelki wypadek przerwał jej w pół zdania.

- Ich bale cieszą się ogromną popularnością. Już parę lat na żadnym nie byłem, ale myślę, że przyjemnie spędzimy wieczór.

Westchnęła ciężko. A więc czeka na wyjaśnienie. On jednak nie potrafił się na nie zdobyć. Jak można tłumaczyć coś, czego samemu się nie rozumie?

Ponownie westchnęła.

- Zapominasz, Ward, że przez kilka lat pracowałam w przemyśle filmowym. Tacy ludzie, sławni i bogaci, nie robią na mnie wrażenia - oznajmiła znużonym tonem.

- Ale Hudsonów nie znasz? Johna i CeCe? To naprawdę urocza para.

- Nawet gdyby byli panem Mikołajem i panią Mikołajową, to i tak nie miałabym ochoty iść na ich przyjęcie. Chyba się nie dogadaliśmy. Mówiłam, że wolę zachować nasz związek w tajemnicy, a ty, bez porozumienia ze mną, przyjmujesz zaproszenie na bal. I zanim jeszcze mnie o czymkolwiek informujesz, prosisz asystenta, aby poczynił wszystkie przygotowania.

Ward uśmiechnął się pod nosem. Podobało mu się, że Ana broni swoich racji. Ujął w ręce jej dłonie.

- Pomijasz pewną istotną rzecz.

Usiłowała się oswobodzić, lecz po chwili się poddała. Mars na jej czole lekko się wygładził.

- Nie sądzisz, że bal charytatywny jest idealnym miejscem, aby poinformować ludzi o Nadziei Hannah?

- Tak uważasz? - spytała niepewnie.

- Absolutnie. Będzie mnóstwo celebrytów, dziennikarzy. Takiego audytorium nie znajdziesz w Vista del Mar. A co do pokazywania się razem... będę tam jako przedstawiciel Nadziei Hannah. Nikt się nie zdziwi, widząc nas razem.

- No, nie wiem.

- Założymy się? - Nie czekając na odpowiedź, zgarnął Anę w ramiona. - Mogę nikomu nie mówić o naszym związku, ale nie zamierzam trzymać się od mojej dziewczyny z daleka.

Skrzywiła się, jakby chciała zaprotestować, Ward jednak nie dopuścił jej do głosu.

- Chcę z tobą tańczyć i pić szampana. Chcę cię rozpieszczać, obsypywać kwiatami. Dlaczego się tego boisz?

Milczała. Był przyzwyczajony do tego, że ludzie chętnie wszystko od niego przyjmują, Ana jednak pragnęła tylko jego towarzystwa. Powinno go to ucieszyć, ale... Wiedział, że Ana nie da sobie zamydlić oczu. Po śmierci Cary często zastanawiał się, co kryje się pod maską, którą nakładał na twarz. Kim był? Wolał, by Ana tego odkryła. Sam też wolał nie wiedzieć. Tak jest lepiej. Bezpieczniej.

Pogładził ją po twarzy, potem przytulił i delikatnie musnął wargami jej usta. Poczul, jak jej opór maleje. Rozchyliła wargi, przylgnęła do niego jeszcze mocniej. W cudowny sposób reagowała na każdy jego dotyk i pieśczość. Łączyła w sobie dziecięcą niewinność i dojrzałą zmysłowość. Z wysiłkiem nad sobą zapanował. Oddychając głęboko, przycisnął czoło do jej czoła. Mieli się nie spieszyć. Sam na to nalegał.

- To co? - spytał. - Pójdiesz ze mną?

- Jak to romantycznie zabrzmiało - mruknęła. Po chwili skinęła głową. - Tak. Pójdę z tobą na ten bal.

Powiedziała to bez większego przekonania. I bez radości. Jakby wyświadczała mu przysługę.

Kiedy nadeszła przesyłka, Ana wystraszyła się. Dorastając, oglądała stare filmy z Doris Day i wiedziała, że gdy posłaniec dostarcza pudło o wymiarach sześćdziesiąt na dziewięćdziesiąt, to w środku znajduje się elegancka suknia. Lub futro z norek. Tyle że dziś nikt już norek nie nosi. Na filmach mężczyzna przysyłał suknię kobiecie, którą zapraszał na randkę do wytwornego lokalu, licząc na to, że po kolacji z szampanem ją uwiedzie. Oczywiście nigdy mu się nie udawało. Doris Day wracała do domu jako dziewica, lecz swoją urodą, wdziękiem i obroną cnoty podbijała serce bohatera.

Ana nie miała złudzeń. Co innego Doris Day, co innego ona. Chociaż nie była szczególnie przywiązana do swojego dziewictwa, jakieś zasady jednak wyznawała. Najbardziej bała się tego, że jeśli straci dla Warda głowę, nigdy się potem nie pozbiera. Kiedy więc w piątek rano nadeszła przesyłka, przyjęła ją z uprzejmym uśmiechem, ale nie otworzyła kartonu. Bądź co bądź w szafie wisiała mała czarna, która idealnie nadawała się na bal.

Po pracy spotkała się z Emmą na kieliszek bezalkoholowego szampana. Nazajutrz rano przyjaciółka brała ślub. Miała to być skromna uroczystość, na którą zaproszono jedynie rodzinę i najbliższych przyjaciół. Po wyjściu z baru pojechały do Any: Emma chciała obejrzeć jej nowy dom. Obejrzała salon, kuchnię... W sypialni natychmiast zainteresowała się leżącym na łóżku kartonem.

- Co to? - spytała, zdrową ręką mocując się z pokrywą.

- Nic takiego - odparła Ana, wyjaśniając, że Ward zaprosił ją do Hudsonów na bal walentynkowy, który miał się odbyć nazajutrz wieczorem.

- O rany! - zawołała Emma, odgarniając bibułę. - I ty mówisz „nic takiego”?

- Mam zamiar ją odesłać.

- Na miłość boską, dlaczego? - Emma wyjęła suknię.

Metry błękitnego szyfonu opadły na podłogę.

Ana, która dopiero w tym momencie ujrzała zawartość kartonu, wstrzymała oddech. Rozpoznała swoje dzieło.

Przyjaciółka stanęła przed lustrem.

- Musiałaś wydać na nią majątek.
- Nie ja. Ward.
- Ward? - Emma uniosła pytająco brwi.
- Tak.

- Można wiedzieć, dlaczego Ward przysłała ci ubranie?

Ana milczała.

- Hej, nie bądź taka. Zaprosił cię do Hudsonów. W porządku, rozumiem. Ale suk-
nia? Coś was łączy?

- Może. Sama nie wiem. - Ana odgarnęła włosy za ucho. Tłumaczenie, na czym
polegają ich relacje, byłoby zbyt skomplikowane. Poza tym Emma na pewno skryty-
kowałaby pomysł przelotnego romansu. - Naprawdę nie wiem. Szlag by to trafił!

Emma uśmiechnęła się.

- Kiedy mnie mężczyzna przysłał drogi prezent, raczej nie przeklinam.
- Nie przeszkadza mi hojność Warda. Po prostu... - Zdusiwszy w sobie kolejne
przekleństwo, Ana zabrała przyjaciółce suknię. Miała ochotę podrzeć ją na strzępy.

Ale było jej żal. Spędziła nad nią tyle godzin! - Ja ją uszyłam!

- Co takiego?

- Do ostatniego filmu, przy którym pracowałam.

- Tego kostiumowego? O gladiatorach?

- Tak. W tej sukni bohaterka wystąpiła w finałowej scenie.

Emma zmarszczyła czoło.

- Skąd Ward ją wytrzasnął?

- Nie wiem. - Ana miała nieco bardziej obfite kształty niż aktorka grająca główną
rolę, ale suknia była dość luźna, więc z dopięciem nie powinno być problemu.

Emma pogładziła kryształki zdobiące ramiączko.

- Nie wiedziałam, że starożytni Grecy używali takich ozdób.

- Z potworami morskimi też nie walczyli. Producentom nie zależało na autenty-
zmie. Boże, jakim cudem Ward...?

- Ma znajomości. - Emma zamyśliła się. - Ale zadał sobie wiele trudu.

- No właśnie.

- Nie rozumiem, dlaczego to ci przeszkadza?

- To suknia dla bogini, a ja jestem zwykłą śmiertelniczką.

- Śmiertelniczką, owszem, ale zwykłą? Tego bym nie powiedziała. - Emma dała przyjaciółce kuksańca w bok.

Do tej pory Ana odczuwała niepokój, teraz poczuła strach. Od Warda oczekiwała gorącego seksu, a nie romantycznych gestów i prezentów. Przecież musi pozostać emocjonalnie niezaangażowana! Uśmiechem starała się pokryć swoje obawy. Z podnóżka przy łóżku wzięła wieszak i powiesiła na nim suknię.

- Dobra - rzekła, siłąc się na pogodny ton. - Skoro idę na bal, wykorzystam okazję, żeby...

Emma rozpromieniła się. Gdyby nie miała ręki w gipsie, pewnie klasnęłyby z uciechy.

- Och, tak, koniecznie! Zaczniemy od manikiuru i pedikiuru, potem fryzjer. Najlepiej coś w stylu greckim, włosy upięte...

- Nie rozpędzaj się, kochana - powstrzymała przyjaciółkę Ana. - Jutro po twoim ślubie sama się wszystkim zajmę. A mówiąc o wykorzystaniu okazji, miałam na myśli, że skoro znajdę się wśród bogatych i sławnych, spróbuję zainteresować ich naszą fundacją.

Mina Emmy zrzędała.

- Kochana, większość ludzi sprzedałaby własną matkę, żeby dostać się na bal u Hudsonów, a ty mi gadasz o fundacji? Nigdy nie przestajesz pracować?

- Przyznaj się; na moim miejscu zrobiłabyś to samo.

- Wcale nie.

- Nie kłam. Znam cię.

- Dobra, masz rację. Swoją drogą to niezły pomysł. Niech ludzie dowiedzą się o Nadziei Hannah. Może kogoś zainteresuje nasz festyn? Albo... Hm... - Oczy Emmy zaświeciły się. - Moglibyśmy zaprosić wszystkich na galę dobroczynną.

- Organizujemy galę? - zdziwiła się Ana.

- Jeszcze jej nie zaplanowaliśmy - rzekła Emma, coraz bardziej zapalając się do pomysłu - ale powinniśmy! Pomyśl tylko. Jutro u Hudsonów opowiesz ludziom o funda-

cji. Ward zaprosi swoich ważnych znajomych. Chase też. Za kilka miesięcy, kiedy będziemy mieli czym się pochwalić, urządzimy wielką galę i...

- A Rafe? Jak zareaguje?

Emma zacisnęła gniewnie zęby.

- Na razie staram się o nim nie myśleć.

- Rozumiem...

Najwyraźniej Emma wciąż się bała, że Rafe zlikwiduje kupiony przez siebie Worth Industries. Podobno Chase usiłował przemówić bratu do rozsądku, ale chyba go nie przekonał. Kiedyś Emma wspomniała, że robi, co może, aby załagodzić konflikt między przyrodnimi braćmi, lecz nie wszystko zależało od niej.

- Zastanów się - ciągnęła. - Martwisz się o nasze fundusze, a właśnie w ten sposób najłatwiej je zebrać.

Ana musiała przyznać przyjaciółce rację.

- Kłopot w tym, że nikt z nas nie ma doświadczenia w takich sprawach. No, może poza tobą. - Przeniosła spojrzenie na brzuch Emmy. - Ale w najbliższych miesiącach będziesz miała pełne ręce roboty. Trzeba by kogoś wynająć.

- Nie ty mówiłaś o ślubie znajomych, którzy skorzystali z usług organizatorki imprez?

- Tak, ja. - Ana przycisnęła palce do skroni, usiłując sobie przypomnieć nazwisko.

- Kobieta dopiero rozkręcała biznes, szukała klientów. Byłaby idealna. Zaraz sobie przypomnę. Na imię miała Paige, a nazwisko... hm, może Adams?

Emma uśmiechnęła się triumfalnie.

- Świetnie!

- Zdobędę jej numer i zadzwonię - obiecała Ana. - Ale najpierw wybadajmy, co inni sądzą o tym pomysle.

Emma wyciągnęła rękę i pogładziła suknię. Materiał był cienki i delikatny niczym skrzydła ważki.

- Co z nią? - spytała.

- Zastanowię się - odparła Ana.

Podejrzewała, że nic innego nie będzie robiła do wieczora.

Kiedy opuściły sypialnię, stanowczym ruchem zamknęła drzwi. Nie chciała zdradzić Emmie, jakie uczucia wywołuje w niej widok sukni. Tym bardziej że nie była pewna, w jakim kierunku podąża jej związek z Wardem.

Emma by nie zrozumiała. No ale Emma nie wie o okularach słonecznych Cary.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Ward do końca nie wiedział, czy na przyjęcie u Hudsonów wybierze się w sukni, którą jej przysłał, czy nie. Uśmiechnął się, kiedy ją w niej zobaczył. Wyglądała tak, jak sobie wyobrażał. Przewidział nawet grymas na jej twarzy.

- Cieszę się, że ją włożyłaś - powiedział, całując Anę w policzek.

Rano widzieli się na ślubie Emmy i Chase'a. Już wtedy pragnął zgarnąć Anę w ramiona, tak by wszyscy widzieli, że należy do niego. Ale uszanował jej prośbę, by zachować ich związek w tajemnicy. Poza wszystkim innym nie wypadałoby wzbudzać sobą zainteresowania na cudzym ślubie, kiedy uwagę powinna skupiać panna młoda.

Ceremonia zaślubin była prosta, lecz piękna. Ana płakała i w kościele, i później na bankiecie. Ward ciekaw był jej rodziców, którzy przyjechali na uroczystość, ale zajmował miejsce wśród gości pana młodego, a oni siedzieli po drugiej stronie nawy z gośćmi panny młodej.

- Skąd wiedziałeś o sukni? - spytała go, zanim ruszyli do Hudsonów.

- Od CeCe.

- Nigdy nie pracowałam dla Hudson Pictures.

- Ale CeCe dorastała w Hollywood. Wszystkich zna. Powiedziała mi, że to najpiękniejsza suknia, jaką widziała, że marzeniem każdej kobiety byłoby choć raz w niej wystąpić.

- Przynajmniej ma dobry gust. - Ana uśmiechnęła się nieśmiało. - O, widzę, że mnie posłuchałeś i nie wynająłeś limuzyny.

Podprowadził ją do drzwi swojego lexusa.

- Droga do Beverly Hills zajmuje półtorej godziny. Gdybyśmy siedzieli w limuzynie na tylnym siedzeniu, nie utrzymałbym rąk przy sobie.

Po części wiedziała, czego może się spodziewać u Hudsonów. Przepychu. Bogactwa. Tłumu paparazzich, którzy na szczęście musieli zostać za drzwiami. Parady gwiazd. Natomiast zupełnie nie spodziewała się tak ciepłego powitania. Jako kostiumolog przebywała na obrzeżach hollywoodzkiej socjety. Dziś trafiła na sam szczyt.

Bal u Hudsonów organizowany był co roku w ich słynnej rezydencji w stylu elżbietańskim. Cały parter zdobiły czerwone serca umieszczone pośród różowych wstęg. Kiczowate dekoracje kontrastowały z eleganckim wnętrzem.

Ana starała się opowiadać o Nadziei Hannah każdemu, kto przejawiał minimum zainteresowania fundacją. Sama siebie zaskoczyła; nie sądziła, że z takim entuzjazmem będzie potrafiła mówić o celach fundacji. Kilka osób sprawiało wrażenie autentycznie zaciekawionych.

Ale Ward bił ją na głowę. Słuchanie go, jak przedstawia dążenia Nadziei Hannah, było równie fascynujące jak oglądanie go na scenie. Był genialny, niezrównany. Ana westchnęła; czasem wołała, żeby był próżny i nadęty.

Kiedy rozmawiał z gospodarzem znanego programu telewizyjnego, postanowiła skorzystać z toalety. Po drodze wpadła na CeCe Hudson. Była zdumiona, że gospodyni ją pamięta. Rozmawiały tylko przez chwilę, kiedy Ward je sobie przedstawiał, a gości były przecież setki.

- Jak się bawisz, kochanie? - spytała drobna brunetka.

- Wspaniale.

- Kłamczucha. - CeCe roześmiała się. - Najchętniej byś stąd uciekła.

- Ja... - zaczęła Ana.

- Nie martw się, nikomu nie powiem. - Wziąwszy ją pod rękę, gospodyni skierowała się w stronę bufetu. - Dawniej ja też nie znosiłam takich imprez. Ale... sama rozumiesz. Zakochujesz się w bogatym człowieku i nagle musisz zadawać się z pyszałkowatymi megalomanami.

- My... Ward i ja nie jesteśmy parą.

- Nie? - CeCe uniosła pytająco brwi.

Nie wyglądała na przekonaną.

- Naprawdę. Przyszłam, aby rozreklamować Fundację Nadzieja Hannah.

- Oczywiście. Jack wspomniał o gali, jaką planujecie. To doskonały pomysł. - Doszedłszy do bufetu, CeCe podała Anie talerzyk. - Daj znać, gdyby nasza wytwórnia mogła w czymkolwiek pomóc.

- Dziękuję. To miłe z twojej strony - powiedziała Ana, wzruszona propozycją.

- Ward to porządny facet. Przynajmniej tyle możemy zrobić dla dziewczyny, z którą nie tworzy pary.

- Ale ja naprawdę...

- Kochana, rozumiem cię - przerwała jej CeCe. - Też wolę, aby o moim życiu prywatnym nie pisały gazety. Dziennikarze do wszystkiego się wtrącają.

- Oj, tak - przyznała Ana.

Zlecieli się jak sępy, kiedy wraz z Wardem wysiadła z samochodu. Pytali, czy zamierza wrócić do komponowania i kontynuować karierę muzyczną. A także o jego pracę w studiu nagraniowym. Kiedy zaczął wychwalać młodego muzyka - był producentem jego płyty - szybko zmienili temat. Nie chcieli też słuchać o fundacji. Interesował ich wyłącznie on sam, Ward Miller.

Na Wardzie natarczywość dziennikarzy nie robiła wrażenia. Nie oburzały go pytania dotyczące jego prywatności. Cały czas był czarujący, odprężony.

CeCe skrzywiła się lekko, zupełnie jakby wiedziała, o czym Ana myśli.

- Przepraszam za ten tłum reporterów. Dawniej na to nie pozwalaliśmy, ale teraz, gdy zbieramy pieniądze na badania nad rakiem, uważamy, że każda wzmianka w prasie jest dobra. Poza tym niektórzy goście bywają bardziej hojni, gdy wiedzą, że zostaną pokazani w telewizji.

Nie przerywając rozmowy, szły wzdłuż bufetu i nakładały sobie jedzenie. Ana świetnie się czuła w towarzystwie CeCe, ale po jakimś czasie znów została sama. Gospodyni musiała zająć się innymi gośćmi.

Postanowiła odszukać Warda. Niestety rozmawiał z Ridleyem Sinclairem, którego nie cierpiała. Ridley, udając szczęśliwego małżonka, usiłował ją poderwać, a gdy mu się nie udało, skutecznie obrzydził jej pracę.

Miała nadzieję, że więcej go nie spotka, lecz oto oboje byli na przyjęciu u Hudsonów. W dodatku on rozmawiał z Wardem, a ona miała na sobie suknię, którą uszyła dla

jego żony. Zdenerwowana ukryła się za stojącą nieopodal grupką gości, licząc na to, że wkrótce panowie się rozstaną. Nie zamierzała podsłuchiwać, o czym rozmawiają, ale ich głosy wyraźnie do niej docierały.

- Widziałem, że przyszedłeś z tą kostiumolożką - powiedział bełkotliwie Ridley.

Obejrzała się dyskretnie. Stali zwrócenie do niej plecami; musieliby się całkiem odwrócić, żeby ją zobaczyć. Ridley trzymał w ręce szklanekę z bursztynowym płynem, który rozlewał, żywo gestykulując. Nie zdziwiło jej, że choć przyjęcie dopiero się rozkręcało, facet był już pijany. Co za palant. Jak mogła porównywać Warda do niego?

- Jak jej na imię? A... Amanda, tak?

- Ana.

Ridley nie słyszał nuty ostrzeżenia w głosie Warda, bo beztrąsko kontynuował:

- Faktycznie, Ana. Pracowała przy mojej ostatniej produkcji.

Wypowiedział w filmie góra dziesięć zdań. Zatrudniono go tylko dlatego, że nalegała na to jego żona. I nagle to była „jego” produkcja. Ana pokręciła głową. Dzięki Bogu, że nie musi mieć z nim więcej do czynienia.

Powinna odejść. Widziała, że Ward sobie radzi i nie potrzebuje jej pomocy. Ale wtem usłyszała:

- Niezła z niej du...

Ward przerwał Ridleyowi, zanim zdążyła rozkwasić temu draniowi nos.

- Na twoim miejscu zamilkłbym - powiedział spokojnym tonem.

Ana zastygła w bezruchu. Czekwała.

- Co? Dlaczego?

- Jeżeli musisz wypowiadać się na temat panny Rodriguez, radzę ci, abyś robił to z szacunkiem.

- Bo jak nie, to co? - spytał pogardliwie Ridley.

- Bo jak nie, to mam wielu przyjaciół w Hollywood, panie Sinclair. Podejrzewam, że sporo więcej niż ty. A teraz wybacz...

Odszedł, zostawiając Ridleya samego. Kretyn pewnie nawet nie zdawał sobie sprawy z groźby skierowanej pod swoim adresem.

Ana oddaliła się pośpiesznie. Nie potrzebowała obrońcy. Gdyby Ridley Sinclair miał odwagę powiedzieć jej to wszystko prosto w oczy, dałaby mu w twarz. On jednak powiedział to Wardowi. A Ward opanowanym tonem zagroził mu, że go zniszczy. Pierwszy raz ktoś zrobił dla niej coś takiego.

Ruszyła holem do łazienki. Na szczęście nikogo w środku nie było. Oparłszy się o ścianę, przycisnęła rękę do brzucha. Psiakrew, nie chciała przychodzić na ten głupi bal. Nie chciała wkładać tej sukni. Nie chciała żadnych romantycznych uniesień. I zdecydowanie nie chciała dla nikogo tracić głowy.

Przeciwnie, chciała stąpać twardo po ziemi. Westchnęła. Oby nie było na to za późno.

Zostawiwszy Ridleya na środku sali, Ward przez kilka minut szukał Any. W końcu trafił na Jacka Hudsona, z którym od dłuższego czasu chciał zamienić parę słów. Chwilę porozmawiali, po czym Ward wsunął mu do ręki kopertę, zadowolony, że nikt tego nie widzi. Czek wypisał na nazwisko Jacka, wiedząc, że przyjaciel przekaże pieniądze fundacji. Co roku dokonywał wpłaty i co roku Jack się z nim o to kłócił.

Gospodarz schował kopertę do kieszeni.

- Na pewno nie chcesz pokwitowania, choćby ze względów podatkowych?

- Gdybym wziął pokwitowanie, toby już nie była wpłata od anonimowego darczyńcy - zauważył Ward.

- Fakt. - Jack uśmiechnął się.

Obaj znali powód, dlaczego Ward wolał pozostać nieznanym. Cara trzymała się jak najdalej od wszystkich stowarzyszeń wspierających ludzi z chorobą nowotworową. Nie chciała, aby jej choroba i śmierć przyćmiły pracę, której poświęciła pół życia. Kazała Wardowi przysiąc, że uszanuje jej dziedzictwo. Uszanował: dlatego wpłata na badania nad rakiem dokonywał anonimowo.

Po chwili do mężczyzn podeszła CeCe. Jack objął żonę w talii, ona położyła dłoń na jego klatce piersiowej. Obserwując ich, Ward poczuł bolesne ukłucie w sercu. Brakowało mu takiej bliskości z drugim człowiekiem.

- Nie wiesz, gdzie mogę znaleźć moją dziewczynę? - spytał gospodynię, pamiętając, że widział ją z Aną.

- Anę? - CeCe zmarszczyła czoło. - Właśnie dlatego do was przyszedłam. Widziałam, jak kieruje się do wyjścia. Niemal biegła. Mam wrażenie, że spotkała kogoś, za kim nie przepada.

Zdusiwszy przekleństwo, Ward pożegnał się z gospodarzami i ruszył do wyjścia. Liczył na to, że ją dogoni, tle nie udało mu się. Parkingowy powiedział, że minutę temu kobieta w długiej niebieskiej sukni wsiadła do taksówki. Ward poprosił młodzieńca, by przyprowadził jego lexusa. Ogarnęła go wściekłość. Cholera, zostawił ją samą na kwadrans, a ona wykorzystała okazję i mu zwiąła.

Przeraziła się, słysząc, ile by kosztowała nocą taksówka z Los Angeles do Vista del Mar. Już mniej by zapłaciła, gdyby wynajęła samochód, tyle że żadna wypożyczalnia nie była czynna o tej porze. Przez moment zastanawiała się nad pokojem hotelowym, ale zrezygnowała z pomysłu; marzyła o własnym łóżku. Skoro jazda taksówką i wynajęcie samochodu nie wchodziły w grę, pozostał transport publiczny.

Oczywiście kobieta w wieczorowej kreacji jadąca autobusem aż się prosi o to, by ją okradziono. Ana wysiadła więc przy najbliższym sklepie czynnym całą dobę. Kupiła najtańsze dzinsy i sweter oraz dużą torbę do której włożyła starannie złożoną suknię. Przebrała się w toalecie, tam też starła z twarzy makijaż. Następnie pojechała autobusem na Union Stadion. O dwudziestej drugiej trzydzieści odchodził pociąg do San Diego. Stamtąd czekała ją krótka jazda autobusem do Vista del Mar. Na dworcu w Vista del Mar wsiadła w taksówkę; do domu dotarła kilka minut po pierwszej.

Wstrzymała oddech na widok zaparkowanego przy krawężniku lexusa. To, że był pusty, wcale jej nie pocieszyło. Ward czekał na werandzie.

Wyciągnęła pieniądze. Taksówkarz zatrzymał wzrok na postaci na werandzie.

- Wszystko w porządku? Zna go pani?

- Niestety znam.

- Może zawieźć panią gdzieś indziej? Nie policzę za kurs.

Uśmiechnęła się, robiąc dobrą minę do złej gry.

- Dziękuję, nie trzeba. On mi krzywdy nie zrobi. - Przynajmniej w sensie fizycznym, pomyślała. Bo w sensie emocjonalnym to całkiem inna historia. - Po prostu nie bardzo mam ochotę na towarzystwo.

Taksówkarz ponownie zerknął na werandę.

- Czy to nie...

- Na sto procent nie - oznajmiła szybko Ana, na potwierdzenie swoich słów wciśkając taksówkarzowi do ręki dodatkowe dwadzieścia dolarów.

Odjechał. Miała nadzieję, że zadowolony z napiwku będzie trzymał język za zębami. Żeby jeszcze wiedziała, jak samej sobie humor poprawić!

Kiedy zbliżyła się do drzwi, Ward stanął przed nią.

- Gdzieś ty, do diabła, się podziewała?

Wyminąwszy go, wyjęła z torebki klucze.

- Czy to ważne? - Przekręciła klucz w zamku. - Nawet ze mną nie rozmawiałeś.

Stanowiłam dekorację.

- Nieprawda.

- Prawda. - Weszła do środka.

Nie próbowała zamknąć przed Wardem drzwi; nic by to nie dało.

Oczywiście żadną dekoracją nie była. Nawet żałowała. Bo gdyby Ward traktował ją jak przedmiot, miałyby powód być na niego zła, a tak mogła go krytykować jedynie za to, że był zbyt czarujący i że stanął w jej obronie.

Postawiła torbę na podłodze przy drzwiach; była zbyt zmęczona, by wyjąć suknię i ją powiesić.

Skierowała się do pokoju i usiadła na kanapie. W pociągu miała sporo czasu na myślenie. Często odbywała tę podróż, kiedy pracowała w L.A., a do Vista del Mar przyjeżdżała w odwiedziny do rodziców i Emmy. Kołysanie pociągu działało na nią kojąco. Lubiała proste rzeczy: transport publiczny, pracę, pomaganie ludziom, którym powodziło się gorzej od niej. Nie potrzebowała romantycznych gestów ani wieczorowych sukni.

- Nie pasowałam do tych ludzi - powiedziała cicho. - Słuchaj, nie chce mi się teraz o tym gadać. Późno już, a ja jestem zmęczona.

Bała się, że jeśli Ward zacznie domagać się wyjaśnienia, ona złamie się i powie mu, że pewnie się w nim zakochała.

Próbując stłumić irytację, Ward przeszedł na drugi koniec pokoju. Najchętniej chwyciłby Anę za ramiona i potrząsnął nią mocno; może by zmądrzała?

- Nie wiem, dlaczego się na mnie złościysz. Przecież nic złego nie zrobiłem.

- A ja zrobiłam? Tak? - zawołała oburzona.

- Owszem. Wybiegłaś z przyjęcia bez słowa. I nie odbierałaś telefonu, chociaż dzwoniłem co najmniej piętnaście razy.

- Nie odbie... - Urwała zmieszana. - No tak, telefon wrzuciłam do torby. Chyba nie słyszałam dzwonka.

- Chyba nie słyszałaś? Dzwoniłem przez cztery godziny. Wiesz, jak się martwiłem? Zawstydzila się.

- Przepraszam.

Chwycił ją za rękę.

- Tylko tyle? Przepraszam? Wycinasz kretyński numer, znikasz, nie odbierasz telefonu, i jedyne, co masz mi do powiedzenia, to przepraszam?

Oswobodziła się.

- Tak. Przepraszam, że się denerwowałeś. Ale to nie był żaden kretyński numer.

- Więc wyjaśnij mi, gdzie byłaś przez cztery godziny.

- Najpierw jeździłam autobusem po Los Angeles, potem pociągiem dotarłam do San Diego.

- I uważasz, że jeżdżenie w nocy autobusami po L.A. nie jest głupie?

- Od dziecka korzystam z transportu publicznego. Może większość czasu mówię, wyglądam i ubieram się jak bogata biała dziewczyna, ale pomieszkiwałam zarówno w bogatych, jak i biednych dzielnicach. Umiem sobie dawać radę.

- Może umiesz. - Ponownie ujął ją za rękę i tym razem nie puścił. Mówił cicho, z trudem skrywając niepokój. - Ale ja o mało nie osiwiiałem ze strachu, nie wiedząc, co się z tobą dzieje.

- Tak? - Zdziwiona uniosła brwi.

- Tak. - Przycisnął czoło do jej głowy i szczęśliwy, że nic się jej nie stało, odechnął z ulgą. - Więcej mi tego nie rób.

- Okej. Nie wiedziałam, że będziesz się martwić.

Wyglądała na autentycznie skruszoną, więc dłużej się na nią nie gniewał. W przeciwieństwie do niego, Ana nie była osobą znaną, nie żyła w blasku fleszy. Mogła wsiąść

nocą do autobusu lub pociągu i nikt by się tym nie zainteresował. Potrafiła wtopić się w tłum. On nie.

- Przepraszam, Ward. Ale to przyjęcie... to nie moja bajka. Nie pojmuję, dlaczego nalegałeś, żebym ci towarzyszyła.

- Chciałem wyrzucić na tobie wrażenie - przyznał. - Zaimponować ci.

Jęknęła sfrustrowana.

- Ależ imponujesz mi! - Jej spojrzenie złagodniało. - Nie musisz mnie przedstawiać swoim sławnym znajomym. Wystarczy mi ty jeden! - Objęła go w pasie. - Imponujesz mi tym, co robisz dla Fundacji Cary Miller. Imponujesz mi swoim talentem. Imponujesz.

Uwolnił się od niej i odwrócił wzrok, jakby nie był w stanie patrzeć jej w oczy. Ana wyczuła jego napięcie. Ponownie zbliżyła się i pogładziła go po ramieniu.

- Tak trudno ci uwierzyć, że liczysz się dla mnie ty? Że wolę być z tobą sam na sam, a nie z tobą w tłumie ludzi?

- Już to przerabialiśmy, Ano. Nie możemy być sam na sam, bo wtedy najchętniej zdarłbym z ciebie ubranie i...

- To zdzieraj.

Nie musiała tego powtarzać. Nawet by nie zdążyła. Ledwo wypowiedziała te słowa, pochwyił ją w ramiona i niemal zmiażdżył jej usta w gorącym pocałunku.

Tak, mówiło jej ciało. W końcu, nareszcie, tak!

Każda komórka drżała, serce biło jak szalone. Tego pragnęła, tych pocałunków, tej bliskości. Tego potrzebowała. Może jeśli dostanie to, czego pragnie, zapomni o tym, czego dostać nie może.

Ręce Warda wędrowały po jej ciele, wsuwały się pod sweter, zaciskały na biodrach. Wszędzie, gdzie jej dotykał, czuła żar. Jakby zostawiał gorący odcisk na jej skórze, na jej duszy. Wszystkie doznania były dla niej czymś nowym, nieznanym, lecz fantastycznym. Ich ciała idealnie do siebie pasowały, były niczym dwie połówki większej całości. Właśnie na to czekała. Na takiego mężczyznę.

Próbowała przysunąć się jeszcze bliżej. Po chwili poczuła, jak Ward, nie puszczając jej, zaczyna się cofać. Jeden krok, drugi, trzeci.

Domyśliła się, o co mu chodzi. Skinęła w stronę drzwi i na moment odrywając wargi od jego ust, wyszeptała:

- Tam...

Wziął ją na ręce z taką łatwością, jakby nic nie ważyła, i ruszył we wskazanym kierunku. Pchnąwszy kolanem drzwi, wszedł do sypialni, po czym położył ją na łóżku. Nagle uświadomiła sobie, że po raz pierwszy mężczyzna gości w jej sypialni. Nie w tej konkretnej, ale w ogóle.

Zanim się speszyła, Ward wyprostował się, zdjął marynarkę od smokingu i rzucił ją podłogę. Przez chwilę Ana patrzyła na niego, następnie poderwała się na kolana i zaczęła rozpinać mu koszulę. Krew dudniła jej w skroniach, w głowie szumiało. Zniecierpliwiona zostawiła guziki i zajęła się paskiem u spodni. Palce jej drżały, gdy wyciągała poły koszuli. W końcu przysiadła na piętach i popatrzyła na Warda z zachwytem. Stanowił ucieleśnienie jej marzeń. Był męski, dobrze zbudowany, nieprzesadnie umięśniony, miał lekko owłosiony tors i ciało silnego mężczyzny, który potrafi kobietę ochronić i zapewnić jej poczucie bezpieczeństwa.

Ale to oczy Warda sprawiły, że przeszły ją ciarki. Ana zrozumiała, że dokonała słusznego wyboru. Pragnęła Warda i choć raz w życiu nie zamierzała sobie niczego odmawiać.

- Przestań tak na mnie patrzeć - powiedział.

- Jak? - spytała szeptem.

- Jakbym był pięciodaniowym obiadem złożonym z samych deserów.

Wyjął spinki z mankietów i schował je do kieszeni, następnie zrzucił koszulę. Zbliżył się do Any powoli, ani na moment nie spuszczał z niej oczu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przyłożył dłoń do jej policzka, drugą ręką wyjął jej z włosów spinki. Kilka kosmyków zbliżył do twarzy i wciągnął w nozdrza jej zapach. Następnie przywarł ustami do jej nabrzmiąłych warg.

Tak wiele rzeczy chciał jej powiedzieć, tyle emocji przekazać. Ale nie umiał, nawet nie wiedział, od czego zacząć. Całe życie uwodził słowami, lecz wtedy trzymał w rękach gitarę, muzyką tworzył nastrój. Teraz, całując Anę, czuł się bezbronny. Bezradny jak dziecko.

Nie wiedział, o czym ona myśli. Nie potrafił ocenić, czy pragnie go równie mocno, jak on jej. Wiedział jedynie, że nigdy dotąd nie czuł tego, co w tym momencie. Nawet, kiedy był z Carą. Z Carą wszystko zawsze było proste. Nikt niczego nie ukrywał, niczego nie komplikował. Nie było powodu do niepokoju, do ostrożności, do wahań.

Z Aną zaś było inaczej. Bardziej intensywnie. Może dlatego słowa mu nie wystarczały. Zamiast mówić, uznał, że wszystko przekaże dotykiem. Ściągnął jej przez głowę sweter. Piersi miała idealne. Kształtne, pełne. Zdawały się prosić, by je całował, pieścił. Nie mógł im się oprzeć.

Ana szybko pozbyła się dżinsów, a on zdarł z niej jedwabną bieliznę. Wsunął rękę pomiędzy jej uda. W pierwszej chwili zacisnęła je, dopiero po chwili się odprężyła. Powędrował w dół do jej wzgórka i tam na moment się zatrzymał. Pieścił ją wargami i językiem. Ana jęknęła i zadrżała. Poczuł, jak pod wpływem orgazmu mięśnie jej pochwy zaciskają się na jego palcach. Szybko przycisnął tam usta: chciał poznać smak jej podniecenia.

Powoli opadała na ziemię. To było dziwne uczucie, jakby jej ciało rozpadło się na tysiące drobnych cząsteczek, które teraz odnajdywały się nawzajem i wracały na swoje miejsce. Nagle uświadomiła sobie, że Ward znikł. Otworzyła oczy. Podparta na łokciu obserwowała, jak stoi obok, zdejmując spodnie i bokserki.

- Weź prezerwatywę - wyszeptła, wskazując głową na szafkę nocną.

Kupiła je w zeszłym tygodniu. Pierwszy raz w życiu. Żeby się nie ośmieszyć, przez godzinę siedziała w łazience i nakładała ją na banana. Ward nie dał jej okazji pokazać,

czego się nauczyła: otworzył szufladę, rozerwał opakowanie, włożył prezerwatywę i wrócił do łóżka.

Gdy się z nią połączył, poczuła ból. Zamknęła oczy i przygryzła wargi. Bolało bardziej, niż się spodziewała. Bardziej, niż opisywały książki. Uciskało ją ze wszystkich stron. Miała wrażenie, że zaraz pęknie. Wzięła głęboki oddech. Powoli bolesność i ucisk ustępowały. Otworzyła oczy. Ward znieruchomiał i patrzył na nią zmieszany. Speszona, zaczerwieniła się i ponownie zamknęła powieki. Liczyła na to, że Ward się nie zorientuje.

- Ana... - Oddychał gwałtownie.

- Jest dobrze - szepnęła.

- Wcale nie jest.

Zrobił taki ruch, jakby chciał się wycofać. O nie! - pomyślała. Ból już prawie całkiem minął. Ana zacisnęła nogi na biodrach Warda i trzymając go za głowę, uniosła się. Zaczęła go całować, pocałunkami wyrażając wszystko, co powinna była wcześniej powiedzieć, a czego nie zrobiła: jak bardzo go pragnie i jak bardzo chce się z nim kochać.

Jej koleżanki traciły dziewictwo w wieku kilkunastu lat, ona jednak czekała. Wcale nie na księcia z bajki i wcale nie na to, by najpierw ukończyć studia, czego pragnęli jej rodzice. Nie, ona czekała na niego, na mężczyznę, którego kocha. W głębi serca czuła, że go kiedyś spotka.

Usiłowała mu to przekazać pocałunkami, a on albo usłyszał jej nieme słowa, albo po prostu nie mógł dłużej zapanować nad pożądaniem. Bo powoli, jakby wciąż z sobą walczył i przegrywał, zaczął się poruszać. Podniecenie narastało... W końcu wykrzyknął jej imię i odpłynął, a ona wraz z nim.

Nieraz słyszała, jak przyjaciółki narzekały na mężów i narzeczonych, którzy natychmiast po seksie zapadali w sen. Ciekawa była, czy Ward postąpi tak samo. Nie trzymał jej długo w niepewności. Prawie natychmiast się z niej stoczył, usiadł na brzegu łóżka, oparł łokcie na kolanach i brodę na dłoniach. Ana zasłoniła się prześcieradłem i leżała, czekając, by coś powiedział.

Jako młoda dziewczyna fantazjowała o takiej chwili. O swoim pierwszym razie z mężczyzną, którego kocha. W jej fantazji mężczyzna odwzajemniał jej uczucie. Ale dziś

fantazja nie pokrywała się z rzeczywistością. Mimo braku doświadczenia Ana wiedziała, co się dzieje. Po pierwsze gdyby Ward wciąż nie kochał zmarłej żony, dawno by schował jej okulary. A po drugie, gdyby odwzajemniał jej, Any, uczucia, to nie siedziałby teraz na skraju łóżka ze zwieszoną głową i nieszczęśliwą miną. Zachowywał się jak ktoś, kogo gnębią wyrzuty sumienia. Jak ktoś, kto wstydzi się tego, co zrobił. Cholera jasna!

Kochał się z wieloma kobietami, lecz nigdy z dziewicą. Aż do dziś. Jak to możliwe, że dał się tak zaskoczyć?

Odtwarzał w myślach każdą minutę, jaką razem spędzili. Co przegapił? Ana sprawiała wrażenie osoby eleganckiej, pewnej siebie. Na miłość boską, pracowała w przemyśle filmowym. Trudno mu było wyobrazić sobie, że w Hollywood, gdzie seks uchodził niemal za walutę, piękna seksowna kobieta może tak długo zachować czystość i niewinność.

Oczywiście Ana uciekła stamtąd. Może to mu powinno dać do myślenia? Do głowy mu jednak nie przyszło, że nikomu nie uległa. Sama też się słowem nie zdradziła, że jest dziewicą. Psiakrew. Nie wiedział, na kogo jest bardziej zły: na siebie, że nie odgadł prawdy czy na nią, że ją ukryła. Kątem oka zobaczył, jak Ana wyciąga do niego rękę.

- Ward...

- Nie! - Poderwał się na nogi.

Przeciwko czemu protestował? Chyba przeciwko całej sytuacji.

Wciągnął bokserki i spodnie.

- Nie odchodź! - zawołała Ana.

Podnosząc z podłogi koszulę, zastygł. Chryste, ona naprawdę sądzi, że zamierzał wyjść bez słowa? Ma go za łobuza?

Ubrał się i skierował się w stronę łóżka. Ana klęczała na materacu, nadal przyciskając prześcieradło do piersi. Włosy opadały jej ciemną kaskadą na ramiona. Wyglądała zmysłowo, jakby pozowała do aktu.

Usiłował nie myśleć o jej ponętym ciele, tylko skupić się na zapinaniu guzików. Na próżno; nie potrafił oderwać od niej wzroku. Ana. Dziewica. A raczej eksdziewica.

Nie był w stanie robić dwóch rzeczy naraz. Palce mu się plątały. Wzdychając, zostawił rozpiętą koszulę i przeczesał ręką włosy.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - spytał wreszcie.

Zamrugnęła albo zdziwiona jego pytaniem, albo tym, że jeszcze nie wyszedł.

- O... o czym?

Czyżby sądziła, że nie zauważył rzeczy tak oczywistej?

- O tym, moja droga, że jesteś dziewicą - oznajmił cierpko.

- Bo to nieistotne. - Uniosła dumnie głowę.

- Nie... - Urwał i ponownie przeczesał włosy. Próbując się uspokoić, wziął głęboki oddech. - Nigdy dotąd się nie kochałaś. Jestem twoim pierwszym mężczyzną. I twierdzisz, że to nieistotne?

Bacznie obserwował jej twarz. Widział niepewność i napływające do oczu łzy, które szybko przelknęła.

- Chryste, Ano...

- Nie waż się mnie przepraszać! - Wstała z łóżka, szarpiąc prześcieradło, którego skrawek tkwił pod materacem.

Cholera, co miał powiedzieć? Jak zareagować?

Zanim cokolwiek wymyślił, starannie owinięta udała się do łazienki. Zamierzał wejść za nią do środka, ale zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Rozejrzał się po sypialni. Meble w stylu art déco oszlifowane i pomalowane na jasny błękit, zieleń i żółć, beżowa pościel, barwne poduszki. Kolor i prostota zdawały się odzwierciedlać charakter Any.

Zastukał do drzwi.

- Ano, otwórz, proszę.

Odpowiedziała mu cisza.

- Nie wyjdę, dopóki nie porozmawiamy.

Miał ochotę kopnąć drzwi. Albo lepiej: wyważyć je. Najbardziej jednak chciał przeprosić Anę. A tego mu zabroniła. Było mu przykro. Głupio się zachował. Ale czy żałował, że się kochali? Nie. Czy żałował, że poszedł do łóżka z dziewicą? Też nie. Nawet się cieszył. Nie mógłby znieść myśli, że wcześniej dotykał jej inny mężczyzna. Po prostu.

Usiadł na brzegu łóżka. Po prostu wolał, by go uprzedziła, by nie uważała swego dziewictwa za rzecz nieistotną. Bo dla niego to było bardzo ważne. Nie tylko jej dziewictwo. Także ona sama. Po raz pierwszy od śmierci Cary kochał się z kobietą. To chyba o czymś świadczy.

Oczywiście nie stronił w tym czasie od seksu, ale do swoich partnerek nic nie czuł. Natomiast z Aną to było coś zdecydowanie więcej niż seks.

Śmierć żony była dla niego wstrząsem. Wcześniej Cara się od niego odwróciła. Kiedy lekarze postawili diagnozę, zaczęła go od siebie odpychać. Choroba ich rozłączyła. Kobieta, z którą dotąd dzielił wszystko, nagle przestała go potrzebować. Nie chciała z nim rozmawiać. Rzuciła się w wir dobroczynności. Tak wiele dawała innym, że dla niego już nic nie zostawało.

Czuł się podle. Nie miał komu się wyzalić. Zresztą co mógł powiedzieć? Że jego umierająca żona spędza za dużo czasu na pomaganiu biednym dzieciom? Zastanawiał się, co nią powoduje. Różne pomysły chodziły mu po głowie. Ale w końcu zrozumiał prawdę: zakochała się w gwiazdzie rocka, a gwiazda okazała się zwykłym śmiertelnikiem. Cara nie chciała marnować swoich ostatnich miesięcy na człowieka, który tak bardzo ją rozczarował.

Czuł bijący od niej chłód, ilekroć przebywali razem. Nawet na łożu śmierci mówiła wyłącznie o tym, czego nie zdążyła jeszcze zrobić. Dlatego utworzył Fundację Cary Miller. Nie spełniał jej oczekiwań, kiedy żyła, ale przynajmniej mógł spełnić ostatnie życzenie umierającej.

Dlaczego o tym wszystkim myślał teraz? Bo zatoczył koło. Cara, którą kochał nad życie, odtrąciła go. Teraz poznał inną upartą kobietą, która również usiłowała zachować dystans emocjonalny. Znalazł się w punkcie wyjścia. Był bliski zakochania się w Anie. A ona... Diabli wiedzą, co ona czuje.

Co miał jej powiedzieć? Że mu zależy na niej? Że dlatego czekał z seksem? Bo chciał, aby ona też coś do niego czuła? Tak rozmawiają trzynastolatki, a nie dorosły facet z dorosłą kobietą. Jeśli powie coś takiego, Ana ucieknie. Nie będzie chciała zadawać się z mięczakiem.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Zanim wymyślił, jak rozwiązać ten problem, drzwi do łazienki się otworzyły. Ana związała włosy w koński ogon, zmyła resztki makijażu. Znów miała na sobie džinsy i sweter, ale nie te kupione w tanim sklepie czy na stacji benzynowej. Dżinsy ładnie opinały jej biodra, sweter podkreślał biust. Ward przyjrzał się jej uważnie. Tak teraz nie ulegało wątpliwości, że jeszcze godzinę temu była dziewicą. Miała w sobie zmysłowość, ale i niewinność.

W łazience odzyskała kontrolę nad emocjami. Wyglądała tak jak pierwszego dnia, kiedy się spotkali, była podejrzliwa, nieufna, pełna rezerwy. Podobnie jak on ją, ona też obrzuciła go spojrzeniem i westchnęła zniecierpliwiona, jakby odczytała wszystko, o czym myślał, odkąd zamknęła się w łazience.

- Przestań się zadręczać - mruknęła i minąwszy go opuściła sypialnię.

- Zadręczać? - Ruszył za nią do kuchni.

- Tak. Odtwarzasz wszystko w głowie, scena po scenie, i próbujesz wymyślić, co powinieneś być zrobić inaczej. Wyrzucasz sobie różne rzeczy...

- Wystarczy. - Obrócił ją twarzą do siebie. Rozszyfrowała go. Nie chciał jednak, aby wypowiadała na głos jego wahania. - Jeżeli znasz mnie tak dobrze, to chyba rozumiesz, dlaczego się zadręczam, jak to ujęłaś.

- Właśnie że nie wiem - odparła zmieszana, po czym wzruszyła ramionami. - Sądziłam, że mi się upiecze, że nie zauważysz.

- Serio? Takie rzeczy każdy facet zauważa.

Ponownie wzruszyła ramionami.

- Masz tak duże doświadczenie, byłeś z tyloma kobietami... Uznałam, że... - Nie dokończyła.

- Że taki samolubny leser jak ja nawet nie zorientuje się, że ma do czynienia z dziewicą?

- Nie! Chodziło mi o to...

- Że jestem skoncentrowany na sobie? Że myślę tylko o własnej przyjemności? -

Czuł, jak narasta w nim złość.

Popatrzyła mu dumnie w oczy.

- Dlaczego wszystko bierzesz do siebie? Skoro ja nie przykładam wagi do mojego dziewictwa, ty też nie powinienes.

- Ja tak nie umiem.

- Dlaczego? - Zmrużyła oczy i postąpiła krok bliżej. - Gdybyś wiedział, co byś zrobił inaczej? Co byś zmienił?

Bąknął coś, ale ona, nie czekając na odpowiedź, ciągnęła:

- Byłbyś bardziej delikatny? Bardziej wyczulony na moje potrzeby? Postarałbyś się, żebym szczytowała trzy lub cztery razy zamiast marnych dwóch?

- Przestań. - Jej lekceważący ton irytował go.

- Bo co? - Uniosła pytająco brwi.

Cofnął się, zanim zrobi coś, czego będzie żałował. Na przykład zanim zgarnie Anę w ramiona i znów zacznie się z nią kochać. To by niczego nie rozwiązało.

- Słuchaj - powiedziała nieco łagodniejszym tonem. - Nie chciałam cię okłamywać.

- A co chciałaś?

- Nie myśleć o tym. Bo to w sumie nic takiego.

- Nic takiego? Nigdy nie spałaś z mężczyzną. A masz ile lat? Dwadzieścia sześć? Siedem?

- Dwadzieścia siedem - odparła, unikając jego wzroku, jakby wstydziała się swojego wieku.

- Nikt tak długo nie zachowuje dziewictwa przez przypadek. A już na pewno nie taka piękna, pełna życia dziewczyna.

Oczy załśniły jej złością, jakby słowa Warda były bardziej zniewagą niż komplemmentem.

- Miałam wiele okazji, tylko z nich nie korzystałam.

- Właśnie o to mi chodzi.

- Tak zostałam wychowana. - Odwróciwszy się na pięcie, podeszła do okna. - Odkąd skończyłam dwanaście lat, mama wbijała mi do głowy, że nie powinnam zadawać się z chłopakami. Nie powinnam chodzić z nimi do łóżka, ba, nawet na randki. Jeżeli się

zakocham i dojdzie do seksu, to w wieku dwudziestu lat będę żoną i matką. Jak większość młodych Latynosek w południowej Kalifornii.

Chociaż stała do niego tyłem, spoglądając na pogrążoną w mroku ulicę, widział napięcie w jej sylwetce. I słyszał je w głosie. Miał wrażenie, jakby powtarzała słowa, które na zawsze wryły się w jej pamięć.

- Jeżeli jako dwudziestolatka urodzę dziecko, niczego nie osiągnę. Skażę się na życie w ubóstwie. Powinnam się pilnować, unikać kłopotów. Powinnam skończyć szkołę, rozpocząć karierę. Kiedy w końcu dostałam pracę w Los Angeles, zorientowałam się, że jestem najstarszą dziewczyną w całym mieście. Miałam dwadzieścia trzy lata, pracowałam w Hollywood, podobałam się facetom. Wszyscy sądzili, że jestem doświadczona. Niemal byli obrażeni, kiedy odmawiałam pójścia z nimi do łóżka na pierwszej randce.

- Coś się wydarzyło, prawda? - spytał, wyczuwając gorycz w jej głosie.

- E tam.

- Tak myślałem. Powiedz, co się stało.

- Oj, był taki jeden, który zaczął uprzykrzać mi życie, kiedy nie chciałam iść z nim do łóżka.

- Kto?

- Czy to ważne?

- Bardzo. - Jak miałby wytropić i zabić drania, skoro nie zna jego nazwiska? - Kto to był?

Przyjrzała mu się uważnie.

- Nie odpuścisz, co?

- Odpuszczę, jak powiesz mi, kto to był.

- Ridley Sinclair.

Ward zaklął siarczyście. Parę godzin temu rozmawiał z facetem. Ridley całe życie udawał nieprzytomnie zakochanego w żonie, a okazuje się, że próbował dobrać się do Any.

- Zabiję go.

- Nie wygłupiaj się. - Uśmiechnęła się nieporadnie.

- Przez niego wyjechałaś z Hollywood.

- Nie tylko przez niego.

- Więc byli też inni?

- To nieważne! Ważne, że teraz mam pracę, na której mi zależy.

Mimo jej protestów Ward widział, że Ana nadal przeżywa to, co ją spotkało. Z powodu Ridleya nie ufa jemu, Wardowi. Może nigdy nie zaufa. Ale przynajmniej teraz lepiej ją rozumiał. Chryste, nic dziwnego, że wczoraj tak nagle opuściła przyjęcie. Pewnie słyszała, co Ridley mówił. Podszedł do okna i przytulił ją.

- Przepraszam.

Odwróciła się.

- To nie twoja wina.

- Wiem, ale to ja cię ciągnąłem do Hudsonów.

- Mogłam odmówić.

- Ale ja bardzo nalegałem.

- Fakt. Mimo to sama podjęłam decyzję. Gdybym nie chciała, tobym została w domu. Po prostu... nie sądziłam, że to będzie takie bolesne.

Zmusił ją, aby popatrzyła mu w twarz.

- Następnym razem, zamiast uciekać, przyjdź do mnie. Na tym polega związek: że ludzie z sobą rozmawiają.

- Więc jesteśmy w związku? - spytała nieśmiało.

- Tak - oznajmił, chcąc rozwiać jej wątpliwości.

Wspięła się na palce, położyła dłonie na jego policzkach i pocałowała go namiętnie w usta. Natychmiast zalało go pożądanie. Zdziwiło go to. Przed chwilą się kochali, a on znów jej pragnął. Miał dość ograniczoną wiedzę na temat dziewic, ale zwyczajnie w świecie nie podejrzewał, by Ana była gotowa na kolejną rundę. Po minucie czy dwóch oswobodził się z jej uścisku.

- Dokończymy to za dzień lub dwa - oświadczył.

- Ale...

- Żadne ale. Nie zawsze będzie tak, jak ty chcesz.

Skinęła w milczeniu głową.

- Najpierw się wyśpimy. Potem się znów spotkamy. I nie będziemy ukrywać naszego związku.

- Ja...

- Nie będziemy - powtórzył.

- Chodzi mi o to, że nie mogę się dziś z tobą spotkać. Umówiłam się na obiad z rodzicami. - Zmarszczyła czoło. - Chyba że wieczorem...

- Nie wzięłabyś mnie z sobą?

- Nie żartuj. Do moich rodziców?

- Czemu nie?

- Po co ci to?

- Bo to twoi rodzice. Oczywiście jeśli sądzisz, że oni nie chcą poznać faceta swojej córki, to...

- Dobra. Tylko nie mów, że cię nie ostrzegałam.

Wkrótce potem się pożegnali i Ward wrócił do siebie.

Dziewictwo Any nie dawało mu spokoju. Żałował, że wcześniej nic mu nie powiedziała. Wtedy mógłby... Co?

Zadał sobie te same pytania, które Ana mu zadała. Czy zrobiłby coś inaczej? Nie. Może byłby tak przejęty, że w ogóle nie byłby w stanie nic zrobić. Czyli lepiej, że stało się tak, jak się stało. Chciał jedynie, żeby ona tego tak lekko nie traktowała.

Nie udało jej się w sposób niezauważalny dla Warda pozbyć dziewictwa. I nie zdołała zniechęcić go do wizyty u jej rodziców.

- Moglibyśmy się wybrać do kina - zaproponowała.

Była to piąta sugestia, odkąd dziesięć minut temu zjawił się u niej w domu.

- Zapomniałaś? Nie lubisz aktorów. - Otworzył drzwi lexusa. - Poza tym rodzice czekają na ciebie; nie możesz ich zawieść.

- Wybaczyliby mi - skłamała, wiedząc, że do końca życia mieliby pretensje, gdyby w ostatniej chwili zadzwoniła z jakąś wymówką. - Przecież to nie jest tak, że w każdą niedzielę ich odwiedzam. - Ponownie skłamała. Zawsze w niedzielę spotykali się na obiedzie.

- Chcę ich poznać.

- No dobra. - Jęknęła w duchu.

Ruszyli. Na Claremont kazała mu skręcić na zachód.

Zdziwiony włączył kierunkowskaz.

- Myślałem, że mieszkają na terenie posiadłości Worthów.

- Owszem - przyznała niechętnie Ana - ale nie jedziemy tam. - Miała nadzieję, że nie zacznie dociekać dlaczego, ale się pomyliła. - Kiedy dowiedzieli się, że zaprosiłam cię, uznali, że u nich będzie za skromnie, więc jedziemy do domu mojego wuja.

Ward wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- Są moimi fanami?

- Nie. Pewnie nigdy o tobie nie słyszeli. Po prostu zawsze jeżdżę do nich sama.

Ucieszyli się, że tym razem będę w towarzystwie mężczyzny.

Wyczuł strach w jej głosie.

- Czego mam się spodziewać?

Wzięła głęboki oddech.

- Wielkiego przyjęcia - odparła. - Na trzydzieści, czterdzieści osób.

Roześmiał się zdumiony. Może był lekko zdenerwowany. Wcale mu się nie dziwiła.

- Mówiłaś, że masz małą rodzinę.

- Tę najbliższą. Jestem jedynaczką. Ale w samych Stanach mam dziesięć ciotek i wujów, wszyscy mieszkają najwyżej dwie godziny drogi od siebie. I prawie trzydzieścioro kuzynów. Nie liczę ich żon i mężów.

- Dzieci pewnie też jest dużo?

- Mnóstwo. Trzeba patrzeć pod nogi, żeby któregoś nie rozdeptać. - Zerknęła na Warda. Nie wydawał się przerażony. Potraktowała to jako dobry znak. - Na pewno nie chcesz, żebym zadzwoniła i odwołała?

- Ani mi się waż.

Jechał zgodnie z jej wskazówkami. Wuj Julio mieszkał w dzielnicy robotniczej. Stały tu nieduże domy, za to każdy miał sporawy ogródek pełen drzew owocowych. Oczywiście warunki lokalowe mieszkańców nie mogły się równać z tymi, do których Ward przywykł, Ana jednak wiedziała, że to mu nie będzie przeszkadzało. Nie zwracał

uwagi na takie rzeczy, bardziej cenił smaczne jedzenie niż eleganckie wnętrza. A co jak co, rodzina Any potrafiła gotować.

- Masz ostatnią szansę - powiedziała, kiedy skręcili w ulicę, przy której mieszkał wuj.

Ward roześmiał się.

- Strasznie się denerwujesz.

Do przejścia mieli ze sto metrów. Bliżej nie dało rady zaparkować z powodu dużej liczby samochodów. Na trawniku przed domem dzieciaki kopały piłkę, paru nastolatków siedziało na schodkach werandy. Zza domu dobiegała głośna muzyka. Ktoś rozpałił grilla; w powietrzu unosił się zapach węgla drzewnego. Każdego innego dnia na myśl o spotkaniu w tak dużym gronie rodzinnym Anę przepęłniłaby radość. Dziś dręczył ją niepokój. Nie obawiała się, że Ward źle potraktuje jej rodzinę, ale nie była pewna, jak jej krewni potrafią go. Nie ze wszystkimi łączyły ją dobre stosunki.

W rodzinnym gronie Ana nie potrafiła się zrelaksować. Widząc to, Ward też był spięty, choć nie tak jak ona.

Nilda, matka Any, powitała go radośnie. Najpierw przyjrzała mu się uważnie, a potem uścisnęła tak mocno, że ledwo mógł oddychać.

- Ostrzegałam cię - szepnęła Ana, kiedy matka wypuściła go z objęć.

Juan, ojciec Any, wykazał większe opanowanie. Łysiejący szpakowaty pan, dość niski i krępy, od którego biło ogromne dostojęństwo, wymienił z Wardem uścisk dłoni. Jego spojrzenie zdawało się mówić: tylko spróbuj skrzywdzić moją córkę!

- Moja Ana - rzekł cicho, z silnym hiszpańskim akcentem - jest jak piękna delikatna róża. Ale ma kolce. Trzeba ostrożnie się z nią obchodzić. Rozumiesz?

Ward skinął głową.

- Tak, proszę pana.

Juan baczenie mu się przyjrzał, po czym poklepał go po ramieniu.

- To dobrze. Teraz chodź, napijesz się cerveza.

Przez następną godzinę lub dwie Ward nie zamienił z Aną słowa. Juan oprowadzał go po domu i ogrodzie, przedstawiał znajomym i krewnym. Jak na luty, było wyjątkowo ciepło, zimne piwo smakowało wybornie, zwłaszcza w cieniu drzewa awokado. Dziecia-

ki bawiły się na trawie pilnowane przez dorosłych, którzy odganiaли je od grilla. Na grillu piekły się ogromne ilości wołowiny i koziny. Kobiety krążyły między ogrodem a kuchnią, skąd wносиły miski z jedzeniem. Ktoś postawił na zewnątrz radio, z którego leciał latynoski hip-hop.

Porównując dzisiejsze przyjęcie z wczorajszym, Ward nie dziwił się, dlaczego Ana nie miała ochoty na bal u Hudsonów. Dzisiejsze było znacznie sympatyczniejsze. Nie rozumiał jedynie, dlaczego Ana cały czas jest spięta. Nawet bardziej spiętej niż u Jacka i CeCe.

Nagle w grupce starszej młodzieży Ward zauważył Ricky'ego. Podszedł przywitać się z chłopakiem, zamienił z nim kilka słów, nawet poznał jego matkę. Kiedy Lena wróciła do kuchni, chłopak obrzucił Warda hardym spojrzeniem.

- Umawiasz się z moją kuzynką?

- Tak.

- Rzadko ją widzimy, ale nie damy jej skrzywdzić.

Ward wytrzeszczył oczy. Dzieciak był chudy, miał góra metr sześćdziesiąt wzrostu, ważył najwyżej czterdzieści pięć kilo, lecz gotów był bronić honoru Any.

- Grozisz mi? - spytał, próbując zachować powagę.

Ricky uniósł dumnie brodę, jakby nie był pewien, czy Ward się z niego nie naśmiewa.

- Nie damy jej skrzywdzić - powtórzył.

Ward pokiwał głową.

- Szczęściara z niej, że ma taką rodzinę. Obojgu wam zazdroszczę.

Powiedział to z pełnym przekonaniem. Nic dziwnego, że Ricky był takim fajnym dzieciakiem. Może rodzina Any nie należała do bogatych, może nie zajmowała wysokiej pozycji społecznej, ale widać było, że jej członkowie się kochają. Ward czuł, że też mógłby ich pokochać.

Wtem spostrzegł, jak Ana stoi na palcach i spogląda nad głowami krewnych, usiłując przyciągnąć jego wzrok. Uniosła brwi, jakby chciała spytać, jak się czuje, czy nie potrzebuje ratunku? Gestem dał jej znać, że wszystko jest w porządku. Skrzywiła się. Psiałość, mógł ją zawołać. Stęsknił się za nią. I w tym momencie zrozumiał, że się oszukuje,

myśląc, że zdoła utrzymać emocjonalny dystans. Przypomnił sobie wieczór, kiedy przyłapał ją na oglądaniu filmu o nim. Ana zdołała przejrzeć go na wylot, jak nikt dotąd. Potrafiła dostrzec jego słabości i śmieszności. A on bronił się, nie chciał przyjąć tego do wiadomości.

I wczoraj, po seksie, Ana spokojnie wstała i ubrała się. A on? Cholera, wpadł po uszy. W dodatku dziś snuł plany, jak to będzie wysyłał kartki świąteczne do całej jej rodziny.

Zakochał się. Nie ma innego wytłumaczenia. Tyle, że ona nie kocha jego. Nawet jeśli sądzi, że go kocha, to wkrótce jej minie. Dostrzeże jego kolejne wady i szybko się odkocha. Gdyby był silny, może poczekałby, aż Ana od niego odejdzie. Ale bał się, że tego nie wytrzyma.

Dlatego uznał, że sam musi się od niej odseparować.

TLR

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Kiedy podano jedzenie, Ana przestała udawać, że słucha wynurzeń swojej ciotki, i ruszyła na poszukiwanie Warda. Siedział z talerzem na kolanach, na niskim kamiennym murku otaczającym rabatę kwiatów. Przysiadła obok z własnym talerzem.

- I co? - spytała. - Nudzisz się?

- Nie. - Wypił łyk piwa. - Nabieram pokory.

- Nie rozumiem. - Podniosła do ust szklankę mrożonej herbaty.

- Wyobraź sobie, że nikt z obecnych nie zna mojej muzyki - powiedział z udawanym oburzeniem.

Roześmiała się wesoło.

- Biedny sławny chłopczyk.

- To miłe uczucie. Po raz pierwszy od lat nikt nie wie, kim jestem.

- Wiedzą, wiedzą. Przynajmniej kobiety. Czuję się jak na przesłuchaniu, ale wolę dzisiejsze pytania niż te, które ciotka Celica zadawała mi podczas poprzedniej uroczystości rodzinnej. Wtedy usiłowała mnie dyskretnie wybadać o moje preferencje seksualne. Podejrzewała, że jestem lesbijką. - Myślała, że Ward parsknie śmiechem. Kiedy nie zareagował, przyjrzała mu się uważnie. Miał dziwnie nieobecny wyraz twarzy. - Na pewno wszystko w porządku? Nikt za bardzo ci się nie narzuca?

- Nikt. Swoją drogą nie sądziłem, że spotkam tu Ricky'ego.

Chłopak akurat nabierał przy stole jedzenie. Ubrany był tak jak dziewięćdziesiąt pięć procent amerykańskich nastolatków, w luźne spodnie noszone nisko na biodrach, biały podkoszulek i rozpiętą koszulę z długim rękawem.

Ana zmarszczyła czoło.

- Znasz Ricky'ego?

- To ten dzieciak, o którym ci mówiłem.

- Nie skojarzyłam.

- Nie wiedziałem, że jesteście spokrewnieni.

- A ja nie wiedziałam, że mój Ricky... - Pokręciła głową. - Okropna ze mnie ciotka.

- Nie okropna, tylko zapracowana. - Ward skinął w stronę Leny. - Dlaczego Lena sama nie przyszła do fundacji? Dlaczego syn musi ją przekonywać?

Ana zerknęła na kuzynkę, która choć od niej niewiele starsza, sprawiała wrażenie kobiety steranej życiem.

- Nie jesteśmy zbyt blisko.

- Dlaczego?

- Mój tata jest młodszym bratem jej ojca. Jej rodzice pomogli ściągnąć moich do Ameryki. Mieszkaliśmy na sąsiednich ulicach. Lena poszła drogą, przed którą moi rodzice mnie ostrzegali. Dzielą nas trzy lata. Jako piętnastolatka zaszła w ciążę. Wtedy my przenieśliśmy się do Vista del Mar. Lena musiała przerwać naukę. Ciężko pracuje, ale ledwo wiąże koniec z końcem. - Próbowала wyobrazić sobie siebie na jej miejscu. Nie potrafiła. - Martwi się, że Ricky opuszcza szkołę.

- Mówiłaś, że nie jesteście zbyt blisko, więc skąd wiesz, że...

- Docierają do mnie plotki.

- Może dlatego nie chciała przyjść do fundacji?

Na twarzy Any odmalował się wyraz zadumy.

- Może. Wiem, że za mną nie przepada, ale jest osobą bardzo dumną... - Popatrzyła wkoło. - Zresztą nie tylko ona. Połowa tu obecnych pracuje w Worth Industries. Boją się przyszłości. Nie wiedzą, czy nie zostaną na lodzie, ale nie chcą się przyznać, że potrzebują pomocy. - Odstawiła na bok talerz z prawie nietkniętym jedzeniem. - Dlatego nasza praca w fundacji jest taka ważna. Rozumiesz to, prawda?

- Od początku rozumiałem. - Ogarnęła go złość. - Tylko nie byłem pewien, czy ty rozumiesz.

- O co ci chodzi?

- Zajmujesz się robotą papierkową, bo boisz się wyjść do ludzi.

- Nie bądź śmieszny. - Wstała i przeszła do kosza na śmieci. Wrzuciła do niego talerz.

Ward wyrzucił swój, po czym skierował się za Aną do małej przytulnej kuchni. Byli sami; reszta rodziny zajmowała się konsumpcją w ogrodzie.

- Wolisz odejść, niż porozmawiać?

Odwróciła się do niego przodem, po czym dźgnęła go palcem w pierś.

- Uważasz, że źle wykonuję swoją pracę, tak?

- Za bardzo skupiasz się na stronie administracyjnej. Ważniejsze jest pozyskiwanie wolontariuszy, a najważniejsze: docieranie do potrzebujących pomocy.

Zabolały ją jego słowa. Odwróciła się, zaczęła zgarniać miski. Wstawiła je do zlewu i odkręciła wodę.

- Wiem, co znaczy głupi upór w połączeniu z dumą, biedą i brakiem wykształcenia - oznajmiła, chwytając butelkę z płynem do naczyń. - Dorastałam wśród tych ludzi. Mam świadomość, jak ciężko będzie ich zmusić do przyjęcia pomocy.

- I dlatego ani razu nie poruszyłaś z nimi tematu fundacji?

- Ja... - Urwała. Po chwili dodała przez zęby: - Masz rację. - Podniosła groźnie wyglądający nóż rzeźnicki i wrzuciła go do ciepłej wody. - Ale ci ludzie to moja rodzina. I trudno mi...

- Dlatego nie rozmawiałaś z Leną? Bo trudno ci właśnie takich ludzi fundacja powinna wspomagać.

- To nie fair - mruknęła, wstawiając kolejne naczynia do zlewu.

- A co jest fair? To, że ignorujesz jej potrzeby? A może uważasz, że Lenie nie przysługuje pomoc?

Przysiadł na blacie. Ana wsunęła do zlewu deskę do krojenia. Nie odpowiedziała na jego pytanie.

- Może uważasz, że spała sobie życie - kontynuował. - Czyli całą resztę też spa-prze. Fundacja da jej pieniądze na ukończenie szkoły, a ona...

Ana cisnęła do piętrzącego się stosu naczyń ostatnią miskę i obróciła się do Warda.

- Nie waż się źle o niej mówić! Nie masz pojęcia, co to znaczy być w tym kraju biedną Latynoską.

Roześmiał się cierpko.

- A ty masz?

Wciągnęła z sykiem powietrze.

- Co powiedziałeś?

Spojrzenie Warda złagodniało.

- Wierzysz, że jesteś inna, prawda? Że nie umiesz się z nimi identyfikować. - Przez chwilę obserwował emocje malujące się na jej twarzy. Widział wszystko, co tak rozpaczliwie próbowała ukryć, lecz nie potrafiła. Wreszcie pokręcił głową. - Ja tak nie uważam, ale ty najwyraźniej tak. W przeciwnym razie parsknęłabyś śmiechem albo przywaliłabyś mi w zęby.

Zacisnęła usta i przełknęła łzy. Nie chciała się przy nim rozplakać.

- O co ci chodzi? Po co mówisz takie... - Nie, nie da się wyprowadzić z równowagi.

Kiedy najmniej się tego spodziewała, delikatnie ujął ją za brodę.

- Po co mówię? Dla twojego dobra - oznajmił cicho. - Masz cechy, które predysponują cię do prowadzenia fundacji, ale musisz pozbyć się strachu, musisz sama wychodzić do ludzi, sama wyciągać do nich rękę. Masz niesamowity potencjał, wykorzystaj go. Nie zawsze tu będę, aby pchać cię do działania.

Wstrzymała oddech. A właściwie poczuła się tak, jakby dostała cios, który pozbawił ją powietrza. Ward zamierza wyjechać, opuścić ją. Teraz, gdy już się przespali, przestała go interesować. Wiedziała, że ich związek nie będzie trwał wiecznie, że ona nigdy nie dorówna zmarłej Carze, że Cara pozostanie w sercu Warda na zawsze. Ale nie sądziła, że świadomość końca będzie tak bolesna.

Oderwała wzrok od jego twarzy i utkwiała w jaskrawych, niebiesko-pomarańczowych kafelkach na ścianie.

- Rozgryzłeś mnie - odparła. - Nie myślałam, że jako członek zarządu masz obowiązek analizowania osobowości pracowników.

- Nie mówiłem tego jako członek zarządu.

- Wiem. - Zmusiła się, by ponownie spojrzeć mu w oczy.

Tak, wiedziała, że nie mówił tego jako członek zarządu, lecz jako jej facet.

Nie, nieprawda. Nie jest jej facetem. Jest mężczyzną, z którym poszła raz do łóżka. Sam powiedział, że nie zawsze tu będzie, by pchać ją do działania. W porządku, zrozumiała. Po prostu myślała, że ból będzie mniejszy.

Widział, że Ana nie życzy sobie, aby jej dotykał.

- Dobra - rzekła ostrym tonem. - Skoro wykładamy karty na stół, to moim zdaniem ty również nie przykładasz się w wystarczający sposób.

Tego się nie spodziewał. Słyszał ból w jej głosie, lecz nie przewidział ciosu.

- To znaczy?

- A Rafe?

- Co Rafe? - spytał zaskoczony.

- Jesteście przyjaciółmi. Możesz z nim pogadać. Wpłynąć na niego.

- Przeceniasz mnie - oznajmił. - Nie mam żadnego wpływu na jego decyzje biznesowe. Jeżeli postanowił zamknąć fabrykę...

- Nie mówię o Worth Industries. - Woda sięgała już niemal krawędzi zlewu. Ana zakreśliła kran. - Mówię o jego zaangażowaniu w fundację. A raczej totalnym braku zaangażowania.

Ward cofnął się i ponownie oparł o blat.

- Czego ode mnie oczekujesz? - zapytał.

Podniosła szczotkę do zmywania naczyń i zaczęła nią gestykulować.

- Mógłbyś go namówić, żeby pojawił się w niedzielę na festynie. Wiele razy dzwoniłam do niego w tej sprawie, lecz nie zdołałam uzyskać odpowiedzi. A to ważne dla mieszkańców Vista del Mar. Oni potrzebują zapewnienia, że się od nich nie odwróci, że nawet jeśli pozbędzie się Worth Industries, to nadal będzie wspierał Nadzieję Hannah.

- Myślisz, że jego obecność na festynie pomoże? Że widząc go, ludzie nabiorą przekonania, że to fajny gość?

- Nie chodzi o to, żeby rozdawał balony i paradował z watą cukrową. Chciałabym, żeby powiedział parę słów.

- O czym?

- Założył Nadzieję Hannah na cześć matki. Kochał ją.

- I uważasz, że opowiadając o swoim cierpieniu, uspokoi mieszkańców tego miasta...

- Przekrećasz moje słowa. - Pomachała mu szczotką przed twarzą.

- Wybacz, ale nie widzę, jak Rafe opowiadający o swojej matce miałby komukolwiek pomóc.

- Naprawdę nie rozumiesz tych ludzi? Oni potrzebują wsparcia. Są bezradni wobec siły i wpływów Rafe'a. Nie wiesz, co czuje taki człowiek...

Nie chcąc oberwać szczotką, wyjął ją Anie z ręki.

- Znam uczucie strachu i bezradności - oznajmił szorstko. - Strach przed utratą pracy jest niczym w porównaniu ze strachem przed utratą żony. Więc nie mów mi, że to dla mnie obce pojęcie.

Popatrzył jej w oczy. Kryła się w nich rozpacz. Przez chwilę bał się, że Ana wybuchnie płaczem. Zamiast tego objęła się w pasie, jakby zrobiło się jej zimno.

- Wszystko się do niej sprowadza, prawda?

- Nie rozumiem.

- Wszystko - powtórzyła, jakby się nie odezwał. - Cara cały czas ci towarzyszy. Bez względu na to, co się dzieje w twoim życiu. Nie chcesz zmuszać Rafe'a, żeby publicznie okazywał żal po stracie matki, bo sam byłeś do tego zmuszony. - Wzięła głęboki oddech, jakby potrzebowała siły, by kontynuować. - Masz rację. Nie wiem, jak to jest, kiedy mąż lub żona umiera na raka. I obym nigdy się nie dowiedziała. Ale nie mogę być z kimś, kogo życie kręci się wokół tego jednego wydarzenia.

- Moje wcale się nie...

- To dlaczego nie sprzedałeś domu? Dlaczego nie pozbyłeś się jej okularów? Jej kolekcji sztuki? Dlaczego nie grasz na alvarezie? - Oczy lśniły jej od łez. - Nie mogę, Ward. Nie potrafię. Powinieneś już iść.

Co mógł powiedzieć? Błagać ją, aby przemyślała swoją decyzję? Przecież wiedział, że Ana ma rację.

- W porządku. - Skinął głową i ruszył do drzwi.

- Ward... Przepraszam.

Wyszedł, póki jeszcze panował nad gniewem. Pocieszał się, że bez niego Anie będzie lepiej. Właściwie to sam ją odtrącił, zniechęcił do siebie. Może od początku usiłował to zrobić. Tak czy inaczej zdeptał piękną różę.

Nazajutrz po grillu Ward odnalazł mały skromny domek, w którym Ricky mieszkał z matką. Przed domem na spalonym trawniku leżał pordzewiały rower, a przy krawężniku stał jeszcze bardziej zardzewiały samochód.

Była dziesiąta. Choć Ward już o świcie uprawiał jogging po plaży, wiedział z doświadczenia, że nawet gdy się jest gwiazdą, pewnych rzeczy nie wypada robić, na przykład ludziom swoim składać porannych wizyt.

Drzwi otworzył Ricky ubrany, jak to on, w luźne dżinsy i bluzę. Sprawiał wrażenie, jakby dopiero się obudził, chociaż powinien już być w szkole. Nakazując Wardowi ciszę, wskazał na zamknięte drzwi pokoju, przypuszczalnie sypialni, po czym przeszedł do kuchni. Na stole czekała pusta miska i pudełko płatków śniadaniowych.

- Mama śpi - wyjaśnił chłopiec, zasuważąc kuchenne drzwi. - Dostała pracę sprzątaczkę.

- To świetnie.

- Mam nadzieję, że fabryka przetrwa.

Ward raczej w to nie wierzył, lecz zachował wątpliwości dla siebie.

- Dlaczego nie jesteś w szkole?

- Dzisiaj uczniowie mają dzień wolny. Przysięgam! - Ricky wsypał płatki do miski.

Nagle zreflektował się i patrząc na Warda, wskazał kciukiem na pudełko.

- Nie, dzięki.

- Wyglądasz, jakbyś miał doła.

- Ja... - Ward westchnął, przysunął krzesło i usiadł.

- W przyszłym tygodniu, po festynie, wyjeżdżam z Vista del Mar. Na jakiś czas. Chciałem ci to powiedzieć.

- W porządku. - Chłopiec spuścił wzrok.

Z obojętną miną wkładał do ust słodkie płatki.

- Dopilnuję, żeby Ana znalazła ci kogoś na moje miejsce, jakiegoś dobrego nauczyciela. Żałuję, że nie mieliśmy okazji się częściej spotkać.

- Jasne. - Chłopiec wzruszył ramionami. - Tak bywa, nie?

- Chciałbym zostać dłużej, ale nie mogę.

- Okej, rozumiem. - Kolejna łyżka płatków znikła w ustach chłopca. - Co za przyjemność tkwić w tej dziurze i dawać lekcje tępemu bachorowi? W końcu masz inne sprawy na głowie, planowanie koncertów i takie tam.

- Nie w tym rzecz. Jesteś naprawdę wspaniałym chłopcem. - Ward poklepał Ricky'ego po ramieniu. - Mądrym...

- Przestań.

- Serio. Cieszę się, że cię poznałem.

- Nie musisz mi się podlizywać.

- Wcale nie próbuję. Jestem z tobą szczery.

- Gadasz jak dupek.

Pięknie, pomyślał Ward. Najpierw Ana go krytykuje, a teraz nastolatek.

- Niech ci będzie. Po prostu uznałem, że może będziesz chciał znać prawdę. - Na moment zamilkł. - Zerwaliśmy. Ana mnie rzuciła, dlatego postanowiłem wyjechać. Żeby było jej lżej.

Ricky parsknął śmiechem.

- Ana cię rzuciła?

- Tak. - Ward poczekał, aż chłopiec się uspokoi. - Tak cię śmieszy moje złamane serce?

Ricky pokręcił głową.

- Wiesz, facet, nie sądziłem, że takich jak ty dziewczyny też rzucają. W końcu jesteś nadziany.

- To nie pomaga.

- Naprawdę darzyłeś ją sympatią, co?

- Tak - przyznał Ward.

Nie było sensu kłamać.

- Obserwowałem was na przyjęciu. Podobasz się Anie, więc dlaczego wyjeżdżasz?

- Przejrzała mnie na wylot.

- I zamierzasz się poddać? Nie chcesz o nią walczyć?

- Dała mi do zrozumienia, że to koniec. Jak mam ją zmusić, żeby się we mnie zakochała?

Ricky wyszczerzył zęby.

- Powiedz jej, co czujesz. Napisz o tym piosenkę.

Ward westchnął.

Gdyby to było takie proste. Pewnie, może napisać piosenkę. Może oczarować Anę słowami i dźwiękiem, ale wtedy nie będzie wiedział, czy zakochała się w Wardzie człowieku czy w Wardzie muzyku. Tego dzieciak w wieku Ricky'ego nie zrozumie.

- Tylko dobrą - dodał chłopak. - Nie takie sentymentalne gówno jak poprzednie.

- Najpierw mnie nazywasz dupkiem, teraz o mojej twórczości mówisz gówno? - Dlaczego w ogóle rozmawia z tym bachorem? - Zaraz. Przecież mówiłeś, że nie znasz moich płyt...

- Ściągnąłem sobie kilka kawałków.

- Spiratowałeś? I masz czelność mnie krytykować?

- Nie spiratowałam. Zapłaciłem kuponem, jaki dostałem na gwiazdkę od dziadków. Jestem biedny, ale nie kradnę.

- W porządku. Więc ściągnąłeś, posłuchałeś...

- Na gitarze grasz całkiem nieźle.

- Nieźle, powiadasz? - Dobrze, że w domu na ścianie miał tyle platynowych płyt, inaczej mógłby popaść w przygnębienie.

- Tak, tylko teksty masz przesłodzone. Dziewczyny lubią takie?

- Chyba tak.

- Może umawiałeś się z niewłaściwymi?

- To bez sensu. Nie będziesz mi dawał porad sercowych.

- Jak chcesz. - Ricky wzruszył ramionami. - Ale ja ją znam dłużej niż ty.

- Okej. Gadaj.

Ricky pochylił się do przodu.

- No więc, Ana... to twarda sztuka. Nie zakocha się w facecie tylko dlatego, że umie czarować. Jest na to zbyt mądra.

- Dobrze, mój ty znawco kobiet. Co radzisz?

Chłopak rozłożył ręce.

- Mnie pytasz? Człowieku, wychowuje mnie samotna matka. Wiesz, ile razy widziałem „Pamiętnik”?

- Co radzisz? - powtórzył Ward.

A potem pomyślał, że chyba oszalał, pytając nastolatka o poradę. Po chwili zaś uznał, że nieważne czy oszalał, czy nie, kocha Anę i chce ją odzyskać.

- Mogę ci powiedzieć, że pod koniec filmu Rachel McAdams wybiera tego, który ją autentycznie kocha.

- Ale ja ją naprawdę kocham - odrzekł Ward. - Tyle że ona nie nabiera się na żadne moje sztuczki.

Ricky popatrzył na niego jak na półgłówka.

- Może więc ich nie stosuj?

TLR

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Liczyła na to, że Ward zapuka do jej drzwi albo przynajmniej zajrzy do biura. Ale minęła godzina, dwie, trzy i musiała pogodzić się ze smutną rzeczywistością. Poprosiła Warda, by dał jej spokój, a on posłuchał.

Podjęła słuszną decyzję, ale to nie miało znaczenia. Serce jej krwawiło, gdy myślała o tym, co jeszcze mogłoby się wydarzyć. Niestety prawie od początku wiedziała, że nie czeka ich żadna przyszłość. Ward wciąż kocha Carę. Ona, Ana, na moment o tym zapomniała.

Nie żałowała niczego. Wiele zyskała dzięki Wardowi: dowiedziała się, co to namiętność, a także zyskała lepszy wgląd w samą siebie. Mimo licznych wad - o ile miłość do żony można uznać za wadę - Ward poznał ją lepiej niż ktokolwiek inny. Dostrzegł kłamstwa, którymi sama się karmiła, dostrzegł jej lęki.

Dlatego, ponieważ go kochała, wybrała się do Leny. Zaparkowała przed domem kuzynki tuż przed południem, akurat gdy Ward stamtąd wychodził. Skuliwszy się, czekała. Nie chciała, by ją zobaczył.

Widziała, jak Ward wymienia uścisk dłoni z Rickym i klepie go przyjaźnie po ramieniu. Po chwili odjechał. Nawet nie spojrzał w jej stronę. Nic dziwnego, pomyślała. Dziwne było to, że wcześniej się nią zainteresował.

Siedziała w samochodzie jeszcze pięć minut. A nuż Ward wróci? A nuż czegoś zapomniał? Potem odczekała kolejne pięć, aż ucisk w gardle zelżeje. Wreszcie wysiadła i wolnym krokiem ruszyła do domu Leny. Drzwi otworzył Ricky. Popatrzył na nią zaskoczony i zerknął nerwowo na ulicę, jakby chciał się upewnić, czy Ward odjechał.

- Ana. Cómo estás?
- Dobrze, dziękuję. Zastałam Lenę?
- Przed chwilą był tu Ward - powiedział chłopiec.
- Widziałam, jak wychodził.
- Nie ciekawi cię, po co przyszedł? - spytał zawiedziony.

Nie bardzo ją to interesowało. Im mniej czasu poświęci Wardowi, tym szybciej przeboleje rozstanie.

- W porządku. Po co przyszedł?
- Pożegnać się. Wraca do Charlestonu.
- Przykro mi, Ricky. Wiem, że go polubiłeś.
- Wyjeżdża, bo mu złamałaś serce - rzekł chłopiec oskarżycielskim tonem.
- Tak ci powiedział?
- Nie musiał mówić. Nie jestem idiotą.
- Słusznie. - Oj, zapowiada się wspaniały dzień. - To co, zastałam twoją mamę?

Jak na zawołanie drzwi sypialni otworzyły się i ze środka wyłoniła się Lena, w szlafroku, potargana, skrzywiona. Przystanąwszy, oparła się o framugę.

- Czego chcesz? - spytała, dając do zrozumienia, że Ana nie jest mile widzianym gościem.

- Porozmawiać - odparła Ana, prosząc Ricky'ego wzrokiem, by zostawił je same.

- Będę u siebie. - Chłopiec oddalił się w głąb mieszkania.

- Dostałam robotę w fabryce. W ekipie sprzątającej - oznajmiła Lena. - Późno poszłam spać, nigdzie nie balowałam.

- Przecież nic nie mówię.

- Ale wiem, co myślisz.

- Boże... Posłuchaj, rozumiem, że za mną nie przepadasz. Uważasz mnie za rozpieszczoną jedynaczkę.

- I co z tego?

Nic. Choć miło by było, gdyby Lena zaprzeczyła.

- Chciałabym cię o coś poprosić.

- Mnie?

- Tak. Żebyś przyjęła pracę w fundacji. - Widząc błysk złości w oczach Leny oraz wyraz podejrzliwości na jej twarzy, Ana dodała pośpiesznie: - Po prostu mnie wysłuchaj, okej?

Po chwili wahania Lena skinęła głową.

- Zarzucono mi, że za mało się angażuję, Ward mito zarzucił. Uważa, że boję się odtrącenia. Może ma rację. Bo ja... Nie wiem, co to znaczy być biednym, co to znaczy ledwo wiązać koniec z końcem. A ty wiesz.

- I co? Chcesz, żebym cię tego nauczyła?

- Nie, chcę, żebyś mi pomogła w pracy. Tobie ludzie zaufają.

- Wątpię.

- Przekonasz się. - Tym razem Ana dostrzegła w oczach kuzynki promyk nadziei. -

Nie mogę ci wiele płacić, ale na pewno zarobisz więcej niż w fabryce. I nie będziesz ha-
rować po nocach. Ale jest jeden warunek: musisz zapisać się do szkoły dla pracujących i
w ciągu roku ją ukończyć.

- A dlaczego sądzisz, że chciałabym u ciebie pracować?

- Popierasz ideę Nadziei Hannah. Gdyby tak nie było, nie pozwoliłabyś Ricky'emu
przychodzić do nas. Poza tym nie wiem, czy bez ciebie sobie poradzę.

Lena zawahała się. Ana nie zamierzała się poddać. Zanim jednak zdołała cokol-
wiek dodać, Ricky wychylił głowę zza drzwi swojego pokoju.

- Rany boskie, mamó! Bierz tę robotę!

Lena uśmiechnęła się.

- W porządku. Chyba nie mam wyjścia.

Trzy dni przed festynem Ana, której życie osobiste było w rozsypce, wolałaby ro-
bić tysiące innych rzeczy niż rozmawiać z dziennikarzami. Ale kiedy Gillian, Mitchell z
„Seaside Gazette” zadzwoniła, Ana nie miała wyboru. Wiedziała, że reklama się przyda.

Zaskoczyły ją jednak pytania kobiety.

- Podobno Ward Miller zamierza wystąpić z pierwszym koncertem od ponad trzech
lat? Podobno wydaję nowy singiel?

Ana omal nie parsknęła śmiechem. Nie chciała rozczarować panny Mitchell, ale
kłamać też nie zamierzała,

- Ward często bierze udział w akcjach charytatywnych, ale niestety nie koncertuje.

Na drugim końcu linii nastąpiła cisza, a po chwili rozległo się westchnienie pełne
zniecierpliwienia.

- Wiem, że bierze udział w akcjach charytatywnych, ale nie z każdą dyrektorką
fundacji coś go łączy.

Anę zamurowało.

- Widzę, że panią zaskoczyłam. Przepraszam za swoją obcesowość.

- W porządku. Jednak wbrew temu, co pani słyszała, Ward nie wystąpi na naszym festynie. Ani ze starymi utworami, ani z żadną nową piosenką.

Dziennikarka milczała.

- Jeśli się pojawi, to wyłącznie jako osoba prywatna.

- Wydaje się pani bardzo pewna tego, co mówi.

Ana przypomniała sobie okulary Cary, pusty dom, w którym Ward nie mieszkał, i pomieszczenie nad garażem, do którego się przeniósł, a także słynną gitarę zamkniętą w szklanej gablocie i ich rozstanie w gniewie. Szansa, by przyjechał na festyn, była minimalna. Żeby zagrał - zerowa.

- Tak, jestem - odparła. Nagle coś ją tknęło. - Zaraz... Pani też wydaje się pewna.

- Ja? Nie, skąd... Dziękuję, do widzenia. - Dziennikarka rozłączyła się.

Ana odłożyła słuchawkę i przez chwilę wpatrywała się w komputer. Następnie odszukała w Google'u telefon do „Gazette” i poprosiła centralę, aby połączyła ją z Gillian Mitchell.

- Pani coś wie.

- Nieprawda.

- Z kim pani rozmawiała? Kto powiedział, że Ward wystąpi z koncertem?

- Dziennikarz nigdy nie ujawnia nazwisk swoich informatorów!

- Na miłość boską, tu nie chodzi o żadną polityczną intrygę, lecz o zwykłą plotkę.

- Ja... - Kobieta się zawahała, wreszcie westchnęła. - Jeśli on zamierza wykonać jakiś romantyczny gest, to nie chcę niczego popsuć.

- Kto zamierza?

- No, Ward.

Anie serce zabiło szybciej. Ward? Romantyczny gest? Dla niej? Parsknęła śmiechem. Dziennikarka nie zwróciła na to uwagi.

- Moim źródłem jest jego asystent. Zadzwoił umówić nas na wywiad po festynie. Wspomniał o nowej piosence i nowej płycie.

- Ryan, tak? Jego menedżer?

- Nie. - Kobieta sprawdziła coś w komputerze. - Jess. Przedstawił się jako asystent Warda.

Ana zmarszczyła czoło. Dziwne. Po Ryanie mogłaby się spodziewać takiego zachowania; dla reklamy zrobiłby wszystko. Ale Jess? To nie było w jego stylu.

- Jess powiedział pani o koncercie?

- Tak. I dodał, że po latach milczenia Ward napisał nowy utwór, który umieścił na płycie. Nie wiedziała pani?

- Wiedziałam, że spędza mnóstwo czasu w studiu - odparła Ana. Podczas pobytu w Vista del Mar często jeździł do studia w L.A. - Jest producentem. Pracował nad albumem młodego chłopaka, którego usłyszał w klubie przed paroma miesiącami.

- Wiem. Dave'a Summersa. Skończyli pracę dwa tygodnie temu. Studio było opłacone, więc Ward postanowił sam z niego skorzystać.

- Zadzwoiła pani do studia? A oni to powiedzieli? - spytała zdumiona Ana.

- Potrafię być uparta i dociekliwa.

- Najwyraźniej.

- Przepraszam, jeśli zepsułam niespodziankę. Jeżeli Ward faktycznie coś planuje...

- Jeśli faktycznie coś planuje, udam zaskoczoną - obiecała Ana.

Wcale nie będzie to trudne. Nie rozmawiała z nim od czasu przyjęcia u wuja. Całe życie tłumaczyła sobie, że czeka na miłość, że jeszcze nie spotkała właściwego człowieka. Ale może się oszukiwała. Może po prostu nie umiała w nikim wzbudzić uczuć.

Nastał wielki dzień.

Lena codziennie przychodziła do fundacji i kipiała energią. Sprawiała wrażenie, jakby chciała wszystkim pokazać, że dobrze zrobili, przyjmując ją. Była uprzejma, na Anę burczała tylko wtedy, gdy nikt nie słyszał. Christi i Omar cieszyli się z dodatkowej pary rąk do pracy. Uważali, że przyjęcie Leny było genialnym posunięciem. Ana zaś, uwolniona od nadmiaru obowiązków, wreszcie miała czas uporać się z robotą papierkową.

Myśląc o Wardzie, o tym, że może pojawić się na festynie, za każdym razem wpadała w panikę. Ale festyn był dla niej ważny. Musi się na nim skupić. Rafe obiecał powiedzieć parę słów. Najwyraźniej przed wyjazdem Ward z nim porozmawiał. Sekretarka

potwierdziła, że szef przyjdzie, Emma także, lecz Ana wiedziała, że odetchnie z ulgą dopiero wtedy, gdy będzie po wszystkim.

Kilka miejscowych restauracji wynajęło stragany po obu stronach ulicy. Oczywiście pieniądze miały zasilić konto fundacji. Przybyli też różni artyści, których Ana знаła z czasów hollywoodzkich: żonglerzy, kłown i grupa kaskaderów, którzy przed posterunkiem policji odtwarzali scenę bójk w barze. Ana namówiła również paru znajomych charakteryzatorów, by przyjechali i malowali dzieciakom twarze. Z Napy przyjechała kuzynka Emmy z degustacją win. Christi, Omar i Lena krążyli po ulicy, rozdawali ulotki, zapisywali nazwiska potencjalnych wolontariuszy. Obserwując wszystko, Ana czuła satysfakcję, która niemal zastąpiła wcześniejszy smutek.

- Ale tłumy - powiedziała Emma, przekrzykując gwar.

Obok niej stał jej nowo poślubiony mąż Chase.

- Prawda? - Ana przycisnęła rękę do serca. - Nawet nie sądziłam, że miasteczko ma tylu mieszkańców.

- Mnóstwo osób przyjechało z San Diego i L.A.

- Nie żartuj. Po co?

Nagle Emma zreflektowała się.

- Cholera, myślałam, że wiesz. Nie czytałaś dzisiejszej gazety?

- Której? - Ana czuła narastający niepokój.

- Wszystkie o tym piszą. - Emma popatrzyła na Chase'a. - Możesz sięgnąć artykuł?

Po chwili Chase podał Anie komórkę. Na wyświetlaczu widniało logo „Seaside Gazette”, a niżej informacja o nowym albumie Warda i jego występie na festynie zorganizowanym przez Nadzieję Hannah. Ana oddała Chase'owi telefon, choć miała ochotę cisnąć nim o bruk.

- Nie powinien był wprowadzać dziennikarki w błąd. - Zacisnęła usta. Nie chciała się źle wypowiadać o Wardzie przy jego przyjacielu. Nagle jednak uzmysłowiła sobie, że odium spadnie na fundację, i zaklęła głośno.

Emma popatrzyła na nią zdziwiona, Chase uniósł brwi.

- Nie przyjedzie, a my będziemy świecić za niego oczami!

- Dlaczego sądzisz, że nie przyjedzie?

- Wyjechał w poniedziałek. Od tej pory ani razu się nie odezwał. Gdyby miał zamiar tu być...

- To?

- To... - Ana urwała. Ostatni raz o festynie rozmawiali, zanim się pokłócili. - Boże, sama nie wiem.

Serce biło jej mocno. Bała się spotkania z Wardem, jeszcze nie ochłonęła po rozstaniu. Najchętniej uciekłaby gdzieś, zaszyła się w mysią dziurę. Nie zdążyła. Wśród tłumu rozszedł się szmer, ludzie zaczęli odwracać głowy. Jakiś mężczyzna stojący nieopodal wymówił imię Warda i wskazał na prowizoryczną scenę na skraju parku. Ana wspięła się na palce. Nic nie widziała.

Po chwili tłum się rozstał. Ward z okularami nasuniętymi wysoko nad czoło szedł w jej kierunku. Nie, szedł w stronę sceny. Ubrany zwyczajnie, w dżinsy i białą koszulę z podwiniętymi rękawami, wyglądał tak, jak pierwszego dnia, gdy się poznali. Szedł wolno, uśmiechnięty, witając się z ludźmi. Emanował dobrą energią, którą zarażał wszystkich.

Przeprosiwszy Emmę i Chase'a, Ana ruszyła w jego stronę. Była zbyt daleko, by słyszeć, co ludzie do niego mówią, ale nagle spostrzegła Jessa. Podszedł do Warda, szepnął mu coś do ucha. Ward skinął głową i skierował się prosto ku scenie. Ana pierwsza dotarła do schodów.

Na jej widok przyjazny uśmiech Warda stał się ciut mniej radosny, a bardziej wymuszony. Przypuszczalnie nikt nie zauważył tej drobnej zmiany, lecz Anie zrobiło się smutno. Uniosła brwi i blokując przejście, spytała cicho:

- Co tu robisz?

- To chyba oczywiste. W „Gazette” podano, że o jedenastej wchodzę na scenę, mówię parę słów, a potem śpiewam ze dwie piosenki.

Skrzywiła się.

- Nie sądziłam, że przyjedziesz.

- Najwyraźniej nie czytujesz gazet - oznajmił ironicznym tonem.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Miał taką minę, jakby coś knuł. Jakby wiedział o czymś, o czym ona nie wie. Było to potwornie irytujące.

- Jeśli nie chcesz słuchać, jak śpiewam, wejdź do budynku. Ale nie mogę zawieść tych ludzi. Poza tym to będzie świetna reklama dla Nadziei Hannah.

Ana powiodła spojrzeniem po morzu twarzy. Oczywiście Ward miał rację. Każdy dolar wydany podczas dzisiejszego festynu zasili kasę fundacji. Tak więc powinna zapomnieć o pretensjach i żalu, nie myśleć o sobie. Skinąwszy ponuro głową, odsunęła się na bok i pozwoliła Wardowi wejść na scenę.

Wbiegł po schodach i pomachał do publiczności. Powitały go entuzjastyczne okrzyki. Ana również poczuła dreszcz podniecenia. Co z tego, że w jego sercu nie było dla niej miejsca? Że wciąż oplakiwał zmarłą żonę? Czy to ważne, skoro mogliby być razem? Po chwili zrozumiała, że tak, to ważne. Bo pokochała Warda. I z czasem cierpiałaby coraz bardziej.

Spojrząwszy na scenę, usiłowała skupić się na tym, co mówił. Przywitał uczestników festynu i obiecał, że zaśpiewa nową piosenkę, ale najpierw opowie im o Nadziei Hannah.

- Jak wiecie, głównym celem jest pomoc potrzebującym w zdobyciu wykształcenia. Firma Cameron Enterprises wspiera fundację finansowo, lecz tu chodzi nie tylko o pieniądze. Mamy środki i mamy możliwości, a teraz potrzebujemy waszej pomocy.

Przez kilka minut perorował z zapalem o tym, jak to pracownicy Nadziei Hannah czekają zarówno na tych, którzy chcieliby dzielić się swoją wiedzą, jak i na tych, którzy pragną wiedzę zdobyć. Słuchacze reagowali żywiołowo. Ana widziała, że są zainteresowani. Aby fundacja mogła spełnić swoją rolę, potrzebne jest zaangażowanie całej społeczności. Mieszkańcy muszą chcieć zainwestować w swoją przyszłość. Razem można wiele osiągnąć.

- Nasza fundacja ma służyć wszystkim. - Ponad głowami zebranych ludzi Ward odszukał wzrokiem Anę. - Przyszłość zależy od nas; możemy uczynić ją lepszą.

Ana zamrugnęła, usiłując powstrzymać łzy.

- W Vista del Mar poznałem kogoś - ciągnął ze sceny Ward - kto pomógł mi to zrozumieć. Chciałbym go wam przedstawić.

Ana wstrzymała oddech, pewna, że Ward ją wywoła.

- Ricky Cruz. Możesz tu przyjść?

Ricky wbiegł po schodach, ubrany nie w luźne portki. z krocem na wysokości kolan, lecz w jasne bawełniane spodnie i elegancką koszulę.

- Od dwóch tygodni udzielam Ricky'emu lekcji - rzekł Ward. - Ricky nie tylko obiecał mi, że nie przerwie nauki, ale sam mnie nauczył paru rzeczy. Dał mi kilka ważnych wskazówek do utworu, który dziś wam zaśpiewam... Wyjaśnił, że utwór można ściągnąć z iTunes i że wszystkie zyski zasilą konto Nadziei Hannah.

W tym czasie Ricky wysunął na środek sceny stół, po czym podał Wardowi gitarę. Ward usiadł, oparł nogę o najniższy szczebel, a gitarę o kolano.

Ana przyłożyła rękę do serca. To był alvarez. Wszędzie rozpoznałaby tę gitarę. Wzruszona zamknęła oczy.

Wszyscy wkoło ucichli. Nie tylko ona rozpoznała alvareza, lecz przypuszczalnie tylko ona wiedziała, ile ten występ oznacza dla Warda. Kątem oka zobaczyła, jak Chase ściska Emmę za ramię. Może on też wie.

Ward poprawił mikrofon.

- Słyszać?

W odpowiedzi rozległ się ryk. Ward przejechał palcami po strunach, raz, drugi, jakby się upewniał, czy instrument jest dobrze nastrojony, po czym zaczął koncert. Przez kilka minut grał bez śpiewania. Gdyby ktoś tylko słuchał i nie patrzył na scenę, mógłby odnieść wrażenie, że gra kilkusobowy zespół.

Ana czuła dławienie w gardle. Ten człowiek po to się urodził - żeby grać, śpiewać, komponować.

Grał całkiem nowy utwór, którego dotąd nie słyszała. Ludzie słuchali w ciszy, z przejęciem i zachwytem.

Nagle palec mu się osunął. Ward podniósł głowę i uśmiechnął się.

- Wybaczcie, trochę wyszedłem z sprawy.

Publiczność roześmiała się. Dalej znów grał po mistrzowsku. Ciekawe, pomyślała Ana, czy specjalnie się pomylił. W pewnym momencie, nie przerywając skomplikowanej palcówki, zaczął mówić do mikrofonu.

- Kiedy pisałem ten utwór, mój kumpel Ricky dał mi pewną radę. Pamiętasz, Ricky? - Popatrzył na chłopaka, który siedział na brzegu sceny. - Powiedział: tylko żeby nie było to takie sentymentalne gówno jak twoje poprzednie kawałki. - Publiczność jęknęła, Ricky spuścił głowę. - Co takiego, spytałem. A on na to: brzmi to jak... Nie, nie powtórzę tego słowa. A potem dodał: Wiesz, facet, nic dziwnego, że dziewczyna nie wierzy, że ją kochasz, jeśli tak do niej gadasz.

W powietrze wzbił się śmiech. Ward wzruszył ramionami.

- No więc oto ona. Pieśń miłosna. Napisana przez faceta, który usiłuje przekonać dziewczynę, że ją naprawdę kocha. Tytuł „Brakuje słów”.

Piosenka była prosta i zabawna, śpiewana z humorem, którego brakowało jego wcześniejszym utworom. Opowiadała o miłości, o tym, jak trudno ją rozpoznać.

Publiczność oszalała. Ana wraz z innymi biła brawo. Wiedziała, że utwór, lekko ironiczny, lecz chwytający za serce, będzie przebojem. Że dzięki niemu fundacja zdobędzie mnóstwo pieniędzy, bo będą wpływały przez wiele, wiele lat. I że każdy cent będzie jej przypominał o tym, co odtrąciła.

Ward opuścił scenę po trzydziestu minutach. Kolejne dwadzieścia zajęło dojście na ulicę. Dziennikarze robili zdjęcia, ludzie ściskali mu dłoń, gratulowali występu, prosili o autograf. Nie odmawiał; był wdzięczny za słowa uznania. Ale tak naprawdę zależało mu na rozmowie z jedną osobą, na poznaniu jednej opinii.

Wiedział, że Ana go słuchała. Kiedy wszedł na scenę, cofnęła się w głąb tłumu. Kiedy nad głowami ludzi napotkał jej wzrok, miał ochotę iść do niej, przerwać występ. Nie zrobił tego. Chciał, by usłyszała tekst, by zrozumiała, co do niej czuje. I żeby wiedziała, jakie życie ją czeka z artystą. Jeśli zechce z nim być.

Przedzierał się wolno przez tłum. Nie spuszczał z niej oczu. Widział, jak szepcze coś do Emmy i Chase'a, a potem znika w drzwiach bistra przy plaży, gdzie - jak mu doniósł Omar - zorganizowano „centrum dowodzenia”.

Przyśpieszył kroku. Bał się, żeby nie wyszła tylnym wyjściem. Lokal na szczęście był pusty. Z kuchni dochodziły jakieś hałasy, ale w głównej sali była tylko Ana. Siedziała przy stole, studiując ulotki.

- I jak? - spytał Ward.

Odgarnęła włosy za uszy.

- Myślę... - roześmiała się. - Myślę, że umiesz pisać świetne piosenki. Ale sam o tym wiesz.

- Ano...

- Jesteś niesamowicie hojny, przekazując cały dochód na rzecz fundacji. Na pewno zrobimy dobry użytek z tych pieniędzy. Ale - popatrzyła mu w oczy - to niczego nie zmienia.

Zdusił przekleństwo.

- Cieszę się jednak - kontynuowała - że znów grasz na alvarezie. Najwyższa pora.

Ogarnęła go złość.

- Ta twoja teoria na temat gitary i domu... to jedna wielka bzdura. - Ana zamrugowała zdziwiona. - Wypowiadasz się na temat mojego życia, muzyki, stanu emocjonalnego, a także naszego związku, niczego ze mną nie konsultując. Dostyc tego. - Złagodził ostre słowa uśmiechem, żeby przypadkiem nie potraktowała ich serio.

- O co ci chodzi?

- Może nie zawsze masz rację. Może to, że odstawiłem alvareza i nie sprzedałem domu, nie ma nic wspólnego z moim stanem psychicznym po śmierci Cary.

Uniosła dumnie głowę.

- W takim razie mam szokującą propozycję. Otwórz się przede mną. Powiedz, co czujesz. Bo inaczej skąd mam wiedzieć?

- Nie słyszałaś piosenki? Jestem facetem. Faceci nie mówią o uczuciach.

- Ach, tak? - Oparła ręce na biodrach.

- Łatwiej wszystko wyrazić przez muzykę.

Westchnęła zniecierpliwiona.

- Na świecie żyją miliony mężczyzn, którzy radzą sobie bez muzyki.

Przeczesał ręką włosy. Wziął głęboki oddech.

- Nikt mnie dotąd nie pytał, dlaczego nie sprzedałem domu.

- Dlaczego go nie sprzedałeś?

- Szczerze? Bo nie umiem. Myślisz, że wciąż rozpaczam po Carze. Tak, nie potrafię się pogodzić z jej śmiercią. - Ujął Anę za brodę i zmusił, by patrzyła mu w oczy. - Kochałem ją, ale ona nie odwzajemniała mojego uczucia. Z początku owszem. Zakochała się w gwiazdzie rocka, ale przekonała się, że jestem normalnym człowiekiem, który jak wszyscy ma jakieś wady. W pierwszym okresie to jej nie przeszkadzało, ale kiedy zachorowała, odepchnęła mnie. Jak myślisz, dlaczego kilka ostatnich lat poświęciła dobroczynności? Bo małżeństwo ze mną jej nie zadowalało.

Ana wstała. Dzielilo ich kilka centymetrów.

- Ward...

- Nie chcę, żeby kolejna kobieta czuła się stłamszona i próbowała ode mnie uciec.

- Nigdy bym...

- Nie jestem łatwy we współżyciu. Dlatego zanim cokolwiek zdecydujesz, musisz wiedzieć, co cię czeka. Zakochałaś się w muzyku.

Przycisnęła palec do jego ust,

- Ciągłe to powtarzasz, ale mylisz się. Nie wiem, jak było z Carą, ale ja dopiero dzisiaj zobaczyłam Warda muzyka. I to nie w nim się zakochałam. Zakochałam się w Wardzie filantropie. W facecie, który poświęcił trzy lata na pomaganie innym, który sprawia, że ludzie mniej uprzywilejowani mogą realizować swoje marzenia, który bezinteresownie uczy grać na gitarze latynoskiego chłopaka. Ale chętnie poznam Warda muzyka. On nie może być taki zły.

- Mówisz poważnie?

- Oczywiście. Muzyka jest częścią ciebie, a ja chcę cię całego. Nie chcę się tobą dzielić z żadną kobietą.

- Nie będziesz musiała - obiecał.

Cara zawsze będzie miała miejsce w jego sercu, ale należy do przeszłości.

Delikatnie dotknął wargami ust Any. Zarzuciła mu ręce na szyję. W jej pocałunku nie było czułości, była tęsknota i namiętność. Uniósł głowę. Chciał ją ostrzec, dać jej jeszcze jedną szansę.

- Jeżeli znów zacznę występować, wiele godzin będę spędzał w studiu. Pewnie ruszę w trasę koncertową. Wtedy chciałbym, żebyś ze mną pojechała.

- Okej.

- Niektóre piosenki będą o tobie, o nas.

Pocałowała go w usta.

- To mi nie przeszkadza, zwłaszcza że niektórzy mężczyźni przez muzykę wyrażają emocje. - Oczy zalśniły jej od łez. - Ta nowa piosenka jest całkiem niezła, wiesz?

Uśmiechnął się.

- Kocham cię, Ano. Kocham do szaleństwa. Myśl, że mógłbym cię stracić, przeraża mnie bardziej niż to, że mógłbym więcej nie występować. Gdybym musiał wybierać między tobą a muzyką, wybrałbym cię.

- O nic takiego nie proszę.

- To dobrze. Bo podobało mi się dziś na scenie. - Przytknął czoło do jej czoła. - Dziękuję, że mnie do tego zmusiłaś. Potrzebuję zachęty. Potrzebuję ciebie.

To wspaniale, bo ona jego też potrzebowała.

